

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 [illegible] 20 [illegible] 40 [illegible]

Rok X.V. **Kraków, 27 stycznia 1917.** **Nr. 4.**

Otwarcie Rady Stanu w Warszawie.



Pierwsze posiedzenie Rady Stanu w pałacu Rzeczypospolitej, dnia 15. stycznia roku bieżącego.

Otwarcie Rady Stanu w Warszawie.

Wielkie dzieło odbudowy państwa polskiego posunęło się o ważny krok naprzód. W stolicy Polski objęła urzędowanie Tymczasowa Rada Stanu, która stała się z tą chwilą tymczasowym wprawdzie, lecz prawowitym i jedynym rządem polskim w tych przełomowych dla naszego narodu czasach. Przebieg tej historycznej uroczystości był następujący:

W niedzielę 14. stycznia b. r. w południe zebrali się w sali kolumnowej Zamku królewskiego wszyscy członkowie tymczasowej Rady Stanu, komisarze obu rządów okupacyjnych i ich zastępcy, a mianowicie eksc. Jan bar. Konopka, radca ministeryalny Ignacy Rosner i starosta dr. Stefan Iszkowski, oraz hr. Lerchenfeld, hr. Bogdan Hutten-Czapski i Józef Żychliński.

Tuż przed godziną dwunastą w południe przybyli na zamek obaj generalni gubernatorowie w karocy galowej z eskortą honorową, pozostającą pod dowództwem księcia Salm-Horstmara. — Wkrótce potem zjawili się na sali jenerał Beseler oraz zbrojmistrz Kuk, szef krajowego komisaryatu cywilnego dr Madeyski i szef sztabu generalnego podpułkownik Hausner.

Obaj generalni gubernatorowie stanęli na podwyższeniu.

Pierwszy zabrał głos jenerał Beseler i przemówił w te słowa:

„Wielce Szanowni Panowie! Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego, schodząc się dziś, stawia pierwszy decydujący krok, zmierzający ku urzeczywistnieniu przyrzeczenia, danego waszej ojczyźnie przez proklamacyę z dnia 5. listopada 1916 roku. Jesteście panowie powołani, aby wraz z władzami rządowemi obu okupacyi rozpocząć podstawowe prace ku odbudowie państwa polskiego.

Nie ziściła się nadzieja, że do pracy tej przystąpicie już pod znakiem zbliżającego się pokoju; rękę, podaną wielkodusznie do zgody przez naszych dostojnych monarchów, wrogowie szorstko odtrącili i zmuszają nas do dalszego prowadzenia walki, którą postanowiliśmy teraz prowadzić z nieugiętą energią aż do ostatecznego zwycięstwa. A nasze zwycięstwo będzie także zwycięstwem waszem.



Otwarcie Rady Stanu w Warszawie: Członkowie Rady Stanu udają się do pałacu Rzeczypospolitej na pierwsze posiedzenie. (Fot. Dulęba, Warszawa).

Stoicie Szanowni Panowie przed podwójnem zadaniem. Wspólną pracą, wskazaną nam przez rozporządzenie o utworzeniu Tymczasowej Rady Stanu, ma się stworzyć dla waszego kraju nowy ustrój państwowy jako podwalina narodowego i wolnościowego rozwoju, a równocześnie zabezpieczyć krajowi waszemu odzyskanie wolności. Środkiem, prowadzącym do pierwszego i drugiego celu, jest przedewszystkiem własne wojsko, które nowo tworzącemu się królestwu od samego początku zapewni wewnętrzną spoistość i bezpieczeństwo na zewnątrz. Zechciejcie Panowie zrozumieć doniosłość tego zadania, którego kraj wasz powinien podjąć się dobrowolnie, póki nie nadejdzie chwila, w której rozwój waszego ustroju państwowego pozwoli zażądać spełnienia tego zadania w drodze ustawodawczej.

Wasze dzielne Legiony stoją razem z nami, gotowe kształcić waszą młodzież zdatną do broni w kierunku tego wielkiego narodowego zadania. Przystąpcie zatem do dzieła z odwagą i zaufaniem, pomni, że swego wzniosłego celu możecie dopiąć jedynie spokojną rozwagą i baczcie na trudne warunki, wywołane trwającem jeszcze poważnem położeniem wojennem.



Otwarcie Rady Stanu w Warszawie: Uroczysty akt dnia 14. stycznia w sali kolumnowej Zamku królewskiego. (Fot. Dulęba, Warszawa).

Temi słowy witam was zatem Panowie serdecznie i wzywam do wspólnej pracy“.

Następnie zabrał głos zbrojmistrz Kuk, który przemówił w te słowa:

„Wielce Szanowni Panowie!

Nawiązując do wymownych słów, które właśnie do was wystosował Jego Ekscellencya generalny gubernator von Beseler, chciałbym i z mojej strony dać wyraz szczerym życzeniom, które ze strony austro-węgierskiej administracyi towarzyszą waszej działalności, poczynającej się w dniu dzisiejszym, a tak bardzo doniosłej dla przyszłości Polski.

Wre jeszcze olbrzymia walka, w której rozstrzygają się losy ludów i państw. I waszemu krajowi zadała ona ciężkie ciosy. Ale, Panowie, nie powinniście tracić z oka faktu, że, podczas gdy gdzieindziej fale tej wszystko pustoszącej wojny pogrążają całe państwa, tutaj, dzięki naszemu zwycięskiemu orężowi, dokonywa się właśnie odrodzenie waszego państwa.

Wam, Panowie, przypadnie w udziale zadanie dziejowe, zadanie kładzenia fundamentów państwowości polskiej. Jeżeli zadanie to spełnić macie należycie, musicie, wolni od wszelkiej polityki partyjnej, objąć waszą działalnością te wszystkie dziedziny, które przewiduje rozporządzenie o Radzie Stanu. Zająć się więc będziecie musieli ważnemi zadaniami odbudowy waszego kraju, przedewszystkiem zaś ważnymi problemami, stojącymi w związku ze stworzeniem własnych państwowych urządzeń przyszłej administracyi państwowej we wszystkich jej gałęziach, i silnej, dobrze zorganizowanej narodowej armii, której kadry stanowią pełne chwały Legiony polskie. Wszystko to, wszystko bez wyjątku, należy do istoty każdego państwa i leży we własnym interesie narodu, jako tego państwa dźwigni.



Otwarcie Rady Stanu w Warszawie: Powitanie członków Rady Stanu przed pałacem Rzeczypospolitej.

Nie zapominajcie, Panowie, że państwo, jeżeli ma być silne i żywotne, nie może być prostym podarkiem losu; naród musi sam, w twardym znoju i ofiarnej pracy, współdziałać dla osiągnięcia państwa, musi być gotów za nie walczyć i krew przelewać.

Uświadomcie Panowie te prawdy całemu waszemu narodowi i stańcie na wysokości waszego zadania; będziecie mogli być pewni wdzięczności ojczyzny, a na marne pójdą nadzieje naszych nieprzyjaciół, nie wierzących jeszcze w zmartwychwstanie Polski, tak, jak się nie wierzy w coś, czego się nie pragnie i przed czem się czuje obawę.

A teraz, Szanowni Panowie, członkowie Rady Stanu, przystąpcie z ufnością w pomoc i błogosławieństwo Boże do wykonywania waszego wysokiego i pełnego odpowiedzialności zadania“.

Przemówienie to powtórzył w języku polskim starosta dr I zkowski.

Na przemówienie obu generalnych gubernatorów odpowiedział imieniem Tymczasowej Rady Stanu p. Wacław Niemojowski następującemi słowy:

„W dostojnych tych murach dawnej i przyszłej królów naszych siedziby, gdzie w dniu 5 listopada 1916 roku, imieniem dwu potężnych monarchów uroczyście proklamowane zostało odbudowanie państwa polskiego, święcimy dzisiaj pierwszy widoczny znak wcielenia w życie wspaniałomyślnie danej nam zapowiedzi.

Jako członkowie Tymczasowej Rady Stanu pierwszego zawiązku rządu polskiego, stajemy wobec Waszych Ekscellencyi i za nacechowane życzliwością i powagą słowa powitania składamy szczere podziękowanie. Jeszcze się żelazny pług wojny, ręką Opatrzności kierowany, nie zatrzymał, a już na przeoranych, wydartych uciskowi rosyjskiemu ziemiach, danem nam jest kłaść podwaliny pod gmach niepodległego państwa polskiego. Rozumiemy wielkość tego zadania, odpowiedzialność, która na nas ciąży, trudności, które przezwyciężone być muszą. Do poparcia nas w usiłowaniach naszych, do pomocy w pracy, wezwiemy naród polski.

Od życzliwego poparcia Waszych Ekscellencyi, przedstawicieli monarchów Niemiec i Austro Węgier, zależy w znacznej mierze proces powstawania organów administracyi polskiej, oraz związana z nim realizacya rządu polskiego i Sejmu.

Tworzenie pod własnymi sztandarami armii narodowej, gotowej do walki w służbie ojczyzny, będzie, obok pracy twórczej nad organizacyą państwa polskiego, wielkiem naszem zadaniem.

Świadomi naszej misyi dziejowej, wymagającej rozszerzenia naszych granic państwowych na ziemie, wyzwolone z pod panowania rosyjskiego, a ku Polsce ciążące, wdzięczni za szlachetną monarszą zapowiedź i ufni w jej pełne i szczęśliwe dla narodu polskiego urzeczywistnienie, przystąpimy do dzieła, wierząc mocno, że praca, na wzajemnem zaufaniu oparta, trwałe wyda rezultaty“.

Tekst niemiecki tej odpowiedzi odczytał członek Rady Stanu dyr. Józef Mikułowski Pomorski, poczem jenerał Beseler, w imieniu własnem i zbrojmistrza Kuka, ogłosił Tymczasową Radę Stanu za otwartą, a ogłoszenie to powtórzył po polsku hr. Hutten-Czapski...

Wreszcie zabrał głos komisarz rządowy Jan bar.



Otwarcie Rady Stanu w Warszawie: Uroczyste nabożeństwo w Katedrze przed pierwszem posiedzeniem Rady Stanu.
(Fot. Dulęba, Warszawa).

Konopka i w porozumieniu z komisarzem rządowym Niemiec zaprosił członków Tymczasowej Rady Stanu na pierwsze posiedzenie celem dokonania wyboru marszałka koronnego.

Posiedzenie to odbyło się dnia następnego, t. j. w poniedziałek 15. stycznia. Poprzedziło je uroczyste nabożeństwo w katedrze.

Już o godzinie dziewiątej rano katedra zaczęła się napełniać. Nawę główną zajęły delegacye stronnictw, urzędów i instytucyi. Nawy boczne zajęły tłumy zaproszonych. Po lewej stronie umieszczono orkiestrę Teatru Wielkiego w pełnym składzie pod wodzą prof. Sagera. Kościół, rzęsiście oświetlony, przybrany został krzewami laurowymi. Przed godziną dziesiątą zaczęli się zjeżdżać członkowie Rady Stanu i zajmować przeznaczone dla nich fotele pośrodku prezbiteryum. Tu również znaleźli się przedstawiciele władz okupacyjnych, generalni gubernatorowie Beseler i Kuk, generalicya niemiecka, przedstawiciele rządu austryackiego, oraz oficerowie wyższych stopni wojsk polskich z komendantem hr. Szeptyckim na czele.

O godzinie dziesiątej wyszedł przed ołtarz J. E. infułat X. Przeździecki, członek Rady Stanu w szatach pontyfikalnych i w otoczeniu duchowieństwa archikatedry odprawił uroczystą mszę świętą.

Z katedry członkowie Rady Stanu, niektórzy powozami, niektórzy pieszo, wśród zwartego tłumu udali się placem Zamkowym, ulicą Nowo-Miodową i Miodową na plac Krasińskich. Wszędzie wznoszono na ich cześć okrzyki. Przed pałacem Rzeczypospolitej, siedzibą Rady Stanu, uszykowała się na przybycie członków Rady Stanu sztabowa warta honorowa wojsk polskich z hr. Szeptyckim na czele. Gdy członkowie Rady Stanu zebrali się na placu w komplecie, komendant hr. Szeptycki w otoczeniu sztabu zbliżył się do członków rządu. Oficerowie salutowali, wojsko oddawało hołd bronią, orkiestra Legionów zagrała hymn „Jeszcze Polska nie zginęła". Przy dźwiękach hymnu wobec zwartego tłumu z odsłonionemi głowami, podszedł hr. Szeptycki i salutując przemówił: „Wojsko polskie oddaje honory wojskowe pierwszemu prawowitemu rządowi polskiemu".

Członkowie Rady Stanu przeszli przed wartą honorową z odsłoniętemi głowami i weszli do pałacu Rzeczypospolitej.

W pałacu Rzeczypospolitej oczekiwali komisarze obu rządów okupacyjnych i ich zastępcy. Członkowie Rady Stanu zajęli miejsca przy stołach ustawionych w półkole. Hr. Lerchenfeld powitał ich dłuższem przemówieniem po niemiecku, odczytując następnie to samo przemówienie po polsku. Bar. Konopka przemawiał tylko po polsku. Po przyjęciu obu przemówień przez Radę Stanu oklaskami, bar. Konopka wezwał członków Rady do wyboru marszałka, zapraszając na skrutatorów hr. Wojciecha Rostworowskiego i Antoniego Kaczorowskiego.





Z pamiętnych dni w Polsce: Powitanie szóstego pułku Legionów w Lublinie.

Pułkownik Norwid dziękuje za przyjęcie. Defilada.

Członkowie Rady Stanu składają kartki wyborcze, skrutatorzy obliczają. Dwudziestu trzema głosami wybrany zostaje na marszałka koronnego p. Wacław Niemojowski, który zajmuje fotel prezydyalny i wygłasza krótkie przemówienie, przyjęte długotrwałymi oklaskami. Następnie marszałek składa uroczyste przyrzeczenie, które brzmi:

„Obejmując stanowisko marszałka Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego, przyrzekam uroczyście:

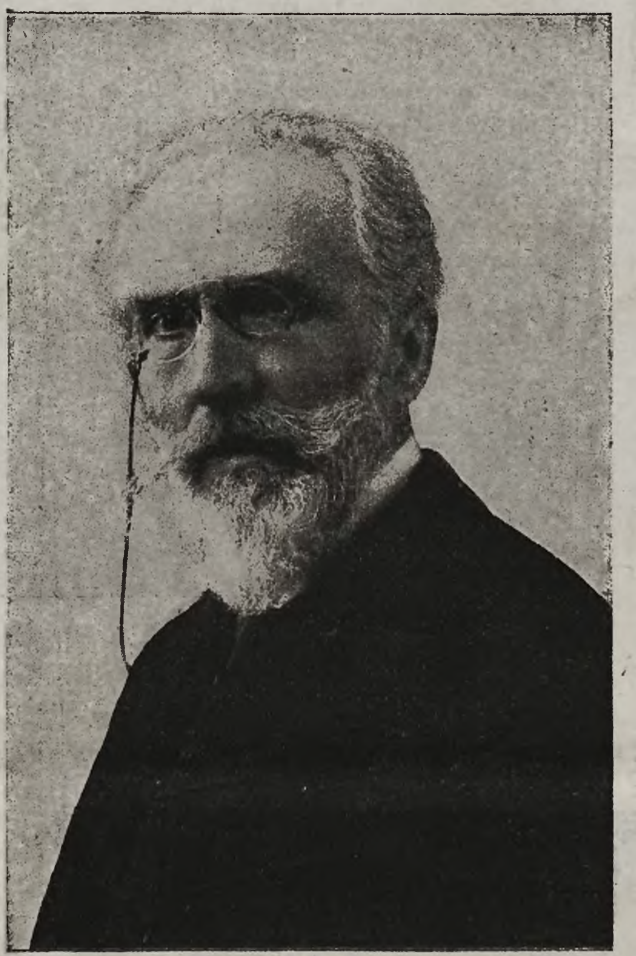
Ojczyźnie i Narodowi Polskiemu wiernie służyć.

Pożytek państwa polskiego i dobro publiczne według najlepszego zrozumienia zawsze mieć przed oczyma.

Przepisów prawa i postanowień Rady Stanu ściśle przestrzegać.

Obowiązki urzędu swego spełniać gorliwie i sumiennie".

Marszałek wzywa następnie członków Rady Stanu,



Powrót prezydenta Rutowskiego: Dr. Tadeusz Rutowski.

aby w jego ręce złożyli to samo przyrzeczenie i stwierdzili je podaniem ręki. Wszyscy członkowie Rady Stanu podchodzą kolejno do marszałka, podają mu dłonie i składają takie same jak on przyrzeczenie uroczyste. Potem marszałek wzywa członków Rady Stanu do wyboru wicemarszałka, sekretarza i jego zastępców. Wybory dają wynik następujący: Na wicemarszałka wybrany zostaje Józef Mikułowski Pomorski, który otrzymał dwadzieścia jeden głosów; na sekretarza Rady Stanu powołany zostaje dwudziestu dwoma głosami Artur Śliwiński a na jego zastępcę Antoni Łuniewski.

Po krótkiej przerwie Rada Stanu przystąpiła do obrad nad odezwą do narodu, którą rozpoczęła swoją działalność.

Powrót prezydenta Rutowskiego.

Z chwilą, kiedy Moskale zmuszeni byli do opuszczenia Lwowa, uprowadzili ze sobą, wbrew wszelkim prawom międzynarodowym, wiele osobistości wybitnych, między niemi i zasłużonego prezydenta miasta, dra Tadeusza Rutowskiego, jako zakładników.

Od dnia 22 czerwca 1915 roku tułał się dr Rutowski po różnych miejscowościach rosyjskich, narażony wszędzie na ciągłe prześladowania i szykany.

Miasto Lwów, którego mieszkańcy tyle mają do zawdzięczenia swemu prezydentowi, prawdziwemu opiekunowi, zwłaszcza w czasie rosyjskiej inwazyi, od pierwszej chwili po wydobyciu się z pod rosyjskiego knuta rozpoczęło starania w drodze dyplomatycznej o wypuszczenie dra Rutowskiego na wolność i pozwolenie na powrót do kraju. Starania te napotykały na najrozmaitsze trudności, wreszcie przecież uwieńczył je pożądany skutek. Rosya zdecydowała się uwolnić swego więźnia w zamian za rosyjskiego dziennikarza, Janczewieckiego, który za szpiegostwo i agitacyę moskalofilską skazany został w Austryi na karę śmierci. Układy między rządem austryackim i rosyjskim, prowadzone przez ambasadę jednego z państw neutralnych, trwały zbyt długo, gdyż Janczewiecki pragnął zabrać ze sobą do Rosyi i swą żonę. Moskale zaś nie spieszyli się bynajmniej, by wyszukać do zamiany pomiędzy osobami, uprowadzonemi z Austryi, odpowiednią osobę. Wreszcie zdecydowano się na niejaką Michalinę Klap, Rusinkę z Bukowiny, która równocześnie z drem Rutowskim rozpoczęła podróż powrotną do kraju rodzinnego przez Sztokholm i Berlin.

Powitanie dra Rutowskiego we Wiedniu, dokąd przybył w dniu 17. stycznia b. r. przed północą, miało charakter wprost owacyjny. Na dworcu kolei północno zachodniej zgromadzili się nader licznie członkowie polskiej kolonii, oraz przebywający obecnie w Wiedniu wybitni obywatele lwowscy.

Gdy pociąg zajechał, podeszła naprzód małżonka z obiema córkami do wagonu, z którego wysiadł dr. Rutowski. Przywitanie, wśród burzliwych okrzyków „Niech żyje", było nader wzruszające. Pani Rutowska ze wzruszenia zemdlała, ale wkrótce przyszła do siebie. Wśród owacyjnych okrzyków wprowadzono dra Rutowskiego do poczekalni, gdzie nastąpiło oficyalne powitanie.

Naprzód powitał dra Rutowskiego imieniem wiedeńskich Polaków rzeźbiarz Lewandowski, który podniósł szczególnie jego zasługi około utrzymania godności imienia polskiego. Następnie powitał przybyłego wiceprezydent dr. Schleicher w imieniu miasta Lwowa i zapewnił go, że cała ludność czci swego prezydenta, jako opiekuna i obrońcę w chwilach największej potrzeby i jego wielkich zasług nigdy nie zapomni. W imieniu Legionistów przemówił major Albinowski i podniósł zasługi dra Rutowskiego około utworzenia Legionów.

Wśród ogólnej uwagi zabrał głos głęboko do łez wzruszony dr. Rutowski i zakończył przemówienie, wielokrotnie przerywane okrzykami „Niech żyje", słowami „Niech żyje Polska i wszyscy ci, którzy na rzecz Polski działali."

Przez cały czas pobytu we Wiedniu był dr. Rutowski na każdym kroku przedmiotem owacyi ze strony Polaków. Setki osób składało codziennie w hotelu karty wizytowe i nadsyłało kwiaty. Prezydent Krakowa, ekscellencya dr. Leo, zaprosił telegraficznie dra Rutowskiego, by, wracając do Lwowa, zechciał się, jako gość gminy miasta Krakowa, zatrzymać w podwawelskim grodzie.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

17

— I zadowolona pani z mieszkania?

— Owszem, dosyć. Dorulowa dużo okazuje mi życzliwości, przytem porządek u niej w chacie wzorowy...

Całe towarzystwo poszło dalej razem.

Hela skierowała rozmowę na dzisiejsze kazanie księdza, które ją bardzo zajęło. Zaczęła opowiadać o tem, w jaki sposób zawarła znajomość z Sojkową. Anielka słuchała z zainteresowaniem.

— Ta Sojkowa to stracona kobieta — zauważył Michnik — jej nic nie powstrzyma... Przepowiadam jej jak najgorszą przyszłość...

— Mnie żal o nią — zawołała Walczakowa — ale szkoda ziemi, która w Bóg wie jakie przejdzie ręce..

— No, tak łatwo nie sprzeda, bo tam są małoletnie dzieci...

— Ona się przechwala, że ma jakiegoś adwokata, który wszystko załatwi...

— Co też to za adwokat, żeby się podobnej rzeczy podejmować! — oburzyła się Walczakowa.

— Och! Proszę pani — powiedziała ze smutkiem Hela — ile takich, albo jeszcze gorszych szubrawców wyzyskiwaczy znaleźć można w mieście... Pisarz niemiecki, Rosegger, powiedział, że strachem i grozą przejmują go nie fronty bojowe, gdzie walczą bohaterzy, ale to życie poza frontem, gdzie czyhają żarłoczne hieny i włóczą modne małpy, obnosząc swoją próżność i bryzgając nią w twarz nieszczęściu i nędzy...

— To straszne! — szepnęła Anielka.

— Straszne dla każdego społeczeństwa, ale u nas, którzy więcej, niż inni, mamy łez do otarcia, pogorzelisk do odbudowania, złego do odrobienia — to już zbrodnia nad zbrodnie...

Zasępiły się wszystkie twarze... Mężczyźni milczeli w zadumie. Hela i Anielka poważną troskę miały w oczach.

Jedna tylko Józia niewiele interesowała się tą rozmową. Niecierpliwiła się trochę tem, że Michnik dzisiaj tak mało na nią zwraca uwagi.

Nikt jednak nie spostrzegł, że od samego kościoła idzie za nimi krok w krok siwa, przygarbiona kobiecina.

Kobieta to przystawała, jakby się cofnąć chciała, to przyspieszała kroku, jakby co prędzej dogonić chciała dworskie panie.

Nareszcie zebrała się na odwagę, zrównała się z idącem przed nią towarzystwem i przemówiła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

— A co to chcecie, Kopkowa? — zapytał Michnik, widząc, że kobieta otwiera usta i znowu je zamyka, nie wypowiedziawszy słowa. — Macie co do powiedzenia, to mówcie!

— A dyć ja chciałam prosić pięknie panią dziedziczkę i pana nauczyciela o jakową poradę, bo...

Kopkowa zająknęła się i urwała.

— Mówcież, mówcie, o co chodzi — zachęcała Anielka.

— Matusiu, gadajcież tylko prędko, a śmiało — zawołał wesoło Michnik — przecież was tutaj nikt nie zje!

Kopkowa ośmieliła się i nabrała rezonu. Szeroko, rozwlekle poczęła opowiadać o wszystkich swoich kłopotach i zmartwieniach... Jak po nieboszczyku mężu długi na gospodarstwie zostały, jak to jej synów na wojnę zabrali, jaki robotnik teraz drogi i jak o niego trudno...

— Ale człowiek by ta już wszystko strzymał i państwu po próżnicy głowy nie turbował — ciągnęła dalej stara — ino że ziemia wypsnąć się może... To i jak się głupiej babie nie poredzić mądrzejszych... „Hadwokat" straszy, że po wojnie dług narośnie, choć „percent" opłacom, jak mogę, że ziemia będzie tyle warto, co nic i za liche pieniondze do sprzedaży przyjdzie... I pisze, żeby ino przedać, a przedać!... A jakoż ja tę ojcowiznę przedawała będę?... A gdzie ja się podzieję, gdzie ja się obrócę na te ostatnie moje lata, co rzekną synowie, jak się z wojny wrócą?.. Jak tę ziemię puścić, jak?...

Głos Kopkowej drżał, a po pożółkłej jej twarzy ściekały łzy.

— Ależ to bzdury ten wasz hadwokat plecie! — zawołał Michnik — Jeżeli procent opłacacie, to długu nie przybędzie, a po wojnie ziemia nie spadnie w cenie, tylko w górę pójdzie. Nie słuchajcie takiego bajdurzenia, bo się w tem jakieś cygaństwo kryje, tylko ziemię trzymajcie. A któż to ten adwokat?

— To pan bardzo godny i zacny...

— Ażeby go szlag trafił z taką zacnością — zaklął nagle Michnik — przepraszam panie, ale tak mi się wyrwało...

— Niema pan za co przepraszać — odparła Walczakowa — Jeżeli się słyszy podobne rzeczy, to takie życzenie zupełnie jest na miejscu.

— A jak się nazywa ten adwokat? — pytał dalej Michnik.

Kopkowa powiedziała nazwisko, ale tak cicho i niewyraźnie, że tylko Michnik dosłyszał.

— Nie znam — mruknął — ale to wszystko jedno! Jak się zwał, tak się zwał, w każdym razie łajdak, to nie ulega wątpliwości! Słuchajcie Kopkowa, nic temu adwokatowi nie wierzcie! Pracujcie, gospodarstwa pilnujcie, ziemię trzymajcie, a będzie dobrze!

— A jak wam będzie potrzeba koni do roboty, to przyślijcie po nie do dworu, a zaraz dostaniecie — dodała Anielka.

Rozjaśniła się chmurna dotychczas twarz Kopkowej.

— Kiedy pan nauczyciel i pani dziedziczka mówią, że trzymać ziemię, a będzie dobrze, to ja wiem, czyja prawda... To dziękuję pięknie i zara napiszę „hadwokatowi", żeby se przedawał, co jego, a do mojego mu zasie!... Ino, że pisać nie umiem — zafrasowała się nagle — a we żniwa to ciężko o takiego, coby czas miał...

— Ja do was zalecę jutro, gosposiu — zawołała Józia, która znała wszystkie kobiety ze wsi — i co chcecie, napiszę wam... Uzbieram też grzybów i przyniosę, bo wiem, że lubicie, a niema wam kto uzbierać!

Stara uśmiechnęła się z wdzięcznością i spracowaną swoją ręką pogładziła przejrzysty rękaw Józi.

— Bóg zapłać panience! Panienka zawsze taka dobra i wesoła, że aże lubo popatrzeć... Znajdą się i dla panienki słodziutkie jabłka i kapka miodu...

Kopkowa jeszcze raz podziękowała wszystkim i podreptała do domu, pocieszona i zadowolona.

— Jak pana tutaj ludzie kochają, jakie do pana mają zaufanie — zwróciła się Hela do Michnika — Nic dziwnego, bo pan tak ich zna i umie do nich mówić... O, gdybym i ja... Ale wątpię, abym mogła kiedy dorównać panu...

— To się pani tylko tak zdaje z początku — uśmiechnął się nauczyciel — początki zawsze trudne... A tu trzeba tylko pracować chętnie, a przedewszystkiem nie przejmować się zbytnio tem, że się pracuje...

Michnik chciał mówić coś więcej jeszcze, ale spojrzenie jego padło nagle na Józię. Przerwał — przypomniał sobie, że postanowił odejść od tej miłej i owocnej pracy, że chce zboczyć z wytkniętej drogi, aby... zdobyć szczęście!

Jakiś nieokreślony żal ścisnął mu serce.

W tej chwili Józia podniosła głowę i spojrzała na niego dziwnie miękko, ciepło i uśmiechnęła się czarownie.

Chwilowy smutek Władysława rozwiał się, jak mgła, ogrzana promieniami słońca, ustąpił miejsca radosnej nadziei.

— Dla niej... wszystko — powtórzył sobie w myśli Michnik słowa, wypowiedziane do Walczaka.

— A może Józia zdecyduje się zostać na wsi? Wszak ona lubi wieś, z chłopami umie żyć i rozmawiać. Chociaż tak niedługo jest tutaj, wszyscy ją pokochali...

Te serca, do których inni przez lata mozolnej pracy klucza szukają, ona zdobyła odrazu jednem spojrzeniem, jednym uśmiechem, kilku przyjaznemi słowy. — Bo ona, Józia, to czar, to piękno życia, które, nie walcząc, zwycięża, nie wysilając się, zniewala...

Michnik, wpatrzony w Józię z zachwytem i uwielbieniem, nie brał już udziału w dalszej rozmowie.

— Ja jestem już w domu — rzekła Hela, zatrzymując się przed chałupą Dorulowej. — Dziękuję państwu bardzo za odprowadzenie i miłe towarzystwo!

— Będziemy się przecież często widywały, skoro sąsiadujemy — pod chwyciła Walczakowa. — Czy dobrze?

Ludwik nie mówił nic, tylko uporczywie, jakby badawczo wpatrywał się w Helę.

Niewiedzieć, dlaczego panna Lidzińska zarumieniła się nagle, jak podlotek. Z tym rumieńcem, który ożywił twarz jej trochę nadto bladą, smutną i poważną, było jej prześlicznie. Ale Hela rozgniewała się sama na siebie i nazwała się w myśli głupią pensjonarką.

Z nieszana, pożegnała się szybko, przedtem jednak przyrzekła Walczakowej, że ją odwiedzi.

— Jak ci się podobała, Anielko, panna Lidzińska? — zapytał Ludwik zwyczajem swoim bez wstępów i omówień.

Józia z Michnikiem wyprzedzili ich nieco, zajęci żywą rozmową. — Ludwik więc mógł swobodnie rozmawiać z kuzynką.

— Bardzo mi się podobała — odpowiedziała Walczakowa. — Doprawdy cieszę się szczerze, że ją poznałam... Tylko wiesz, co mi się zdaje? Ona chyba nie jest szczęśliwa... Ma takie dziwnie smutne oczy...

— Tak, podobno miała niewesołe życie w domu... Jakiś bardzo nieprzyjemny ojczym... Dlatego też rzuciła dom, w którym mogła mieć dostatek, a nawet zbytek, wyrzekła się studyów uniwersyteckich, aby tylko co prędzej mieć własny kawałek chleba... Co prawda, dyablo tu suchy i twardy kawałek chleba... No i dla młodej panny, tak jak ona wykwintnie wychowanej, mieszkać w dusznej chałupie i uczyć umorusane, rozwrzeszczone dzieciaki chłopskie, to chyba żadna przyjemność...

— W takim razie nie omyliło mnie pierwsze wrażenie... Panna Lidzińska to musi być dzielna kobieta... Mnie zawsze ogromnie imponują kobiety, które umieją się zdobyć na stanowczy krok i samodzielnie pracować... Bo ja, chociaż pracy się nie lękam, ale nie wiem, czy bym umiała... Ale skąd ty, Ludwisiu, wiesz o tych szczegółach z życia panny Lidzińskiej? Przecież jej nie znałeś...

— Osobiście nie... ale z widzenia i ze słyszenia znałem ją trochę — odpowiedział Ludwik, zapalając papierosa.

Anielka bystro spojrzała na kuzyna. Intuicyą kobiecą odczuła, że Ludwik interesuje się bardzo żywo młodą nauczycielką.

— A może to przypadkiem ten twój typ? — zagadnęła żartobliwie.

— A gdyby tak było, to co?

— No, tobym się dziwiła, bo, o ile pamiętam, gustowałeś w kobietach zupełnie innego rodzaju!

— Upodobania się zmieniają, no i z wiekiem człowiek poważnieje.. Przyznam ci się otwarcie, Anielko, że do pewnego gatunku kobiet, który dawniej lubiłem, nabrałem wprost wstrętu...

Przed oczyma jego wyobraźni przesunęła się postać pani Ady.

Anielka spojrzała uważnie na kuzyna.

— Toś ty się więcej zmienił, niż myślałam...

— Tak... przekonałem się, że gąski i lwice nie dla mnie...

— Dawniej patrzyłeś tylko na urodę...

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że teraz na nią nie patrzę.. Brzydkich kobiet nie uznaję, ale to jeszcze nie racya, abym miał się kochać w lalce od fryzyera, czy gęsi salonowej, dlatego tylko, że ładna... Albo, żebym miał wzdychać do pięknego posągu bez duszy...

— Jak to brutalnie i po męsku powiedziane: brzydkich kobiet nie uznaję! — oburzyła się Walczakowa — Czyż brzydkie nie mają prawa do szczęścia i miłości?

— Prawo mogą mieć, ale najczęściej pozostaje ono martwą literą! A ty się niepotrzebnie irytujesz, Anielko, bo przecież należysz do tych pięknych, uprzywilejowanych...

— Za komplement ci nie dziękuję, bo mi się wcale nie podobał! Więc gdyby na przykład wyrósł mi garb, albo gdybym dostała teraz ospy, albo wyłysiała, to tem samem straciłabym wartość?

— Dla twego męża, który cię piękną poznał i pokochał, dla mnie, który cię znam od dziecka — prawdopodobnie nie... Ale obcy mężczyzna, któryby cię widział po raz pierwszy, przeszedłby obojętnie, albo powiedziałby: brzydka baba!...

— Nie! Na to nigdy się nie zgodzę! Czyż mężczyźni wszyscy są adonisami, a jednak żaden, nawet najbrzydszy, nawet ułomny, nie rezygnuje z rozkoszy życia!...

— Mężczyzna, to co innego... Wiesz przecie, że stare przysłowie powiada: Mężczyzna, jeżeli jest tylko trochę ładniejszy od dyabła... Zresztą nie rozumiesz mnie, bierzesz to wszystko za krańcowo... Istnieją różne odcienie brzydoty, czy urody i rozmaite gusta, ale tam, gdzie powierzchowność pozbawiona jest wszelkiego uroku — to za szczęściem, przynajmniej w miłości, jest krucho... To jest może niesprawiedliwe, nawet okrutne, ale tak jest... Zakończmy jednak tę jałową dyskusyę i powiedźmy do panny Lidzińskiej... Cóż ty na to, gdybym ci powiedział, że to mój typ?...

— Powiedziałabym, że masz lepszy gust, niż sądziłam... Tylko ostrzegam cię, nie bądź zanadto zarozumiałym i pewnym siebie, bo to jeszcze pytanie czy ty jesteś jej typem...

Ludwik, który w skrytości serca sam zadawał sobie to pytanie, nie odpowiedział nic, tylko rzucił Anielce gniewne spojrzenie.

List Heli Lidzińskiej do Kornelii Witowtówny:

„Kochana Kornelko!

Gniewasz się może na mnie, że przez tak długi czas nie napisałam do Ciebie.

Wybacz, ale doprawdy trudno mi było uporządkować myśli i zebrać się na list... Tyle nowych wrażeń, takie zupełnie inne warunki życia...

Przyznam Ci się otwarcie: z początku było mi dziwnie obco, nieswojsko... Kiedy się znalazłam w mojej izbie, pozbawionej wszelkiego komfortu, do którego przywykłam, i zetknęłam się z chłopami, bardzo mało podobnymi do „poczciwych" wieśniaków w powieściach tendencyjnych i do poetycznych pasterzy na idyllicznych obrazkach, ogarnęło mnie — wyznam, choć się wstydzę — uczucie przestrachu...

Niestety, my młodzi, którzy marzymy o tem, aby nieść ludowi „oświaty kaganiec" — znamy często ten lud niewiele więcej, jak Hotentotów, czy Zulusów, bo i jednych i drugich z teoryi książkowej... Przynajmniej ze mną tak było...

Całe szczęście, że z naszymi chłopami polskimi łatwiej porozumieć się można, niż z afrykańskimi dzikusami, no i łatwiej wśród nich się zaaklimatyzować... Ja też aklimatyzuję się — choć powoli...

Nie jestem przecież tak słaba i niedołężna, abym się pozwoliła pokonać moim filisterskim przyzwyczajeniom i wymogom... Powiedziałam sobie: Dość tego, panno Helu, zdawało ci się, że jesteś bardzo mądra, dojrzała, samodzielna, a jesteś tylko rozpieszczona i rozkapryszona... No i przyzwyczajam się, a przedewszystkiem staram się poznać moje nowe otoczenie...

Moja gospodyni, Dorulowa, bardzo miła i wesoła kobiecina, polubiła mnie... Gawędzę z nią często i czasem mi się zdaje, że ja ją doskonale rozumiem, a ona mnie; kiedy nagle natrafię na coś takiego, czego ani rusz ugryźć. Na przykład zauważyłam, że gosposia moja chętnie w niedzielę i święta czyta... Widziałam u niej jakąś jarmarczną powieść, wychodzącą w zeszytach p. t. „Cnotliwa hrabina czyli dwunastu rozbójników"...

Dałam jej więc tom Konopnickiej... Prześliczne rzeczy, takie jasne, takie proste, że zdawałoby się, że muszą do chłopskiej duszy przemówić...

No i wiesz, co było? Dorulowa po przeczytaniu kilku kartek oddała mi książkę i rzekła:

— E, ja ta na takie „bele co" nie mom czasu... Jak mam wolną chwilę, to sobie chcę poczytać jakąś piękną historyę...

Osłupiałam...

— Jakto, nie podoba się wam to? — zawołałam. — To przecież takie ładne...

— Może to i ładne, ale dla panów...

Co miałam na to powiedzieć? Nie odpowiedziałam nic i schowałam pogardzoną książkę. Nie tak to widać łatwo „zbładzić pod strzechy"...

Podobnych rzeczy mogłabym Ci cytować mnóstwo, ale nie będę, bo list mój urósłby do rozmiarów jakiejś rozprawy, a Ty pewnie nie masz ani czasu, ani ochoty, by czytać takie foliały...

Właściwej pracy mojej nie rozpoczęłam jeszcze... Nauka w szkole zaczyna się dopiero w przyszłym tygodniu. Mam uczyć dzieci najmłodsze, tak zwane pospolicie tutaj „osiołki".

Mam wielką tremę, boję się, abym się nie okazała największym z pośród moich „osiołków" osiołkiem...

Kolega mój zalesiński, nauczyciel Michnik, pociesza mnie, że to znów nic trudnego... Byle dobre chęci były... No, chęci to mi nie brak, a ostatecznie nie święci garnki lepią...

Tymczasem używam jeszcze swobody i wypoczynku... Okolica tutaj prześliczna... Lasy, pagórki, krajobrazy rozległe... Opisywać Ci tego nie będę, bo zrobiłby się napewne jakiś opis banalny, któryby Ci żadnego nie dał wyobrażenia o rzeczywistości...

Najlepiej, postaraj się o urlop, przyjedź i zobacz sama...

Z tem wszystkiem czułabym się tutaj może osamotnioną, ale los był na mnie łaskawy... Znalazłam towarzystwo miłe, sympatyczne i intelligentne...

Napiszę ci o tem szerzej innym razem, a teraz kończę już ten przydługi list i całuję Cię serdecznie

Twoja Hela.

P. S. Widzisz, byłabym zapomniała... Mam pozdrowienia dla Ciebie. Ani zgadniesz, od kogo... Wyobraź sobie, co za dziwny zbieg okoliczności... Pamiętasz może, za ostatniem widzeniem się naszem opowiadałam Ci o tym rannym wojskowym, który zaczepił mnie, a właściwie zamierzał zaczepić, przynajmniej tak mi się zdawało...

Zdumiałam się, kiedy go spotkałam w Zalesinkach... To kuzyn pani Walczakowej, właścicielki Zalesinek, a zarazem Twój dobry znajomy i kolega... Pan Ludwik Rażycki... Ze też Ty mi nigdy o nim nie wspomniałaś.

Widuję go często, prawie codziennie, no i kłócimy się nieraz porządnie... Wkońcu jednak zawsze przychodzi do porozumienia, bo on ma naturę dziwnie łatwą i miłą w pożyciu codziennem... Jakoś nie można gniewać się na niego, pomimo, że jest trochę lekkomyślny i porządnie zarozumiały, zwłaszcza, jeżeli chodzi o kobiety... Zdaje mu się, że jest Cezarem, który przyjdzie, spojrzy i zwycięża!...

Ja przynajmniej jestem już szczepiona od zakochania się...

Chociaż... Nie... nic już!...

Pa! Kornelko!"

ROZDZIAŁ X.

— Proszę cię, Anielko, tylko żadnej filantropii — zawołał Kazimierz Walczak. — Nie baw się w dobrą panią ze dworu, bo to na chłopa teraz już wcale nie działa... Chcesz zorganizować tę wypożyczalnię, dobrze, ale niech będzie płatna, bo wszelka jałmużna i darmocha demoralizuje i najczęściej chybia celu...

Obiad, na który zaproszono pannę Lidzińską i Władysława Michnika, skończył się.

Pokojówka podała czarną kawę. Mężczyźni zapalili papierosy.

— Ależ — broniła swego projektu Walczakowa — opłata może ich zniechęcić, a jabym tak chciała...

— Nigdy w życiu! Chłopi tylko to cenią, za co zapłacą!... Niech ta opłata będzie najmniejsza, ale niech będzie!...

— Pan Kazimierz ma zupełną racyę — popierał Michnik zdanie gospodarza. — Chłop jest przyzwyczajony do tego, że go każdy obdziera: karczmarz i kupiec, adwokat i lekarz i każdy najmniejszy urzędniczyna, który ma mu jakąś, choćby najbardziej drobnostkową sprawę załatwić... Jeśli więc nie z tego nie z owego, ktoś ofiaruje mu zadarmo rzecz, za którą on mógłby mu zapłacić, budzi się w nim zaraz niedowierzanie i, co za tem idzie, lekceważenie... Tak, tak, stanowczo trzeba nauczyć chłopów, aby płacili za książki i gazety... Ja zawsze staram się wpoić w nich przekonanie, że czytanie to nie zbytek, ale konieczna potrzeba, no i udaje mi się dosyć... Mało teraz jest takich domów, gdzieby nie czytano jakiejś gazety lub książek...

— Ach! Jakie oni książki czytają! — westchnęła Hela Lidzińska.

— O, proszę pani, tylko nie wymagać zadużo i nie sięgać zawysoko! Niech pani nie przykłada swojej estetycznej i literackiej miary... Chłopu naszemu na obecnym stopniu jego oświaty trzeba podsuwać bajeczki, jak dziecku... Czyż pani nie wie, że wszystkie tendencyjne powiastki „dla ludu" są ckliwe i nudne, jak lukrecya, a dzieci nie chcą nigdy czytać moralizatorskich historyjek, specyalnie dla nich pisanych...

— Tak, tak — przytakiwał Walczak.

— Co do tego niedowierzania w pracę zadarmo, to pan Michnik nie myli się — przyznała Hela — stwierdziłam to na sobie... Mam teraz, dopóki nauka nie zaczęła się, dosyć czasu. Więc mówię kilka dni temu do mojej gospodyni: Jeżeli wy, lub jaka sąsiadka, macie do napisania list, kartkę do niewoli, czy jakieś podanie, to niechaj przyjdzie do mnie, a chętnie napiszę...

— Pisarz gminny ukamienuje panią — zaśmiał się Michnik.

— Właśnie chciałam zapobiedz wyzyskowi, o którym słyszałam... Ale proszę posłuchać, co było dalej: A ileby też panienka brała od takiego pisania? — pytała moja Dorulowa. — Nic — mówię. — E, takie to gadanie... Tera nic darmo — odpowiedziała mi z przekonaniem — Nawet za śmierć zapłacić musisz księdzu, żeby się pomodlił, organiście, żeby zaśpiewał i kościelnemu, żeby łopatą oklepał... A panienka by ta miała czas po próżnicy tracić? Chyba, żeby panienka była za to z rządu płacona... No i co z nią gadać? — kończyła Hela na wpół ze śmiechem, na wpół z lekką irytacyą.

— A widzi pani... klasyczny przykład — rzekł Michnik. — Trudno, chłop jest podejrzliwy i nieufny.

— Moi państwo — wpadła mu nagle w rozmowę Józia, która podczas tej rozmowy najspokojniej w świecie zajadała ciastka — od pół godziny nie robicie nic, tylko odmieniacie chłop, chłopa, chłopu, dla chłopa... No i poco to?... Ja tam się nigdy tyle nad chłopami nie zastanawiam, a jak mówię do nich, to oni mnie rozumieją, ja ich rozumiem i... lubimy się nawzajem i dobrze...

Michnik spojrzał na nią z zachwytem.

— Pani posiada rzadki dar ujmowania sobie serc...

— Za cukierek dziękuję, ale już po deserze — odrzuciła dziewczyna. — Zresztą to wcale nieprawda, co pan powiedział o tem zdobywaniu serc... Od tylu miesięcy chcę na przykład, żeby się pan we mnie zakochał, a pan ani rusz!... To nawet nieładnie być tak upartym...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tylko Michnik poczerwieniał i zrobił wielce niedowcipną minę.

— No, a cóż pan sądzi o tem wszystkiem? — zwróciła się Hela do milczącego dotychczas Ludwika.

— O czem? O pannie Józi i panu Władysławie?

— Ależ nie... O tej wypożyczalni książek dla chłopów...

— A o tem, to przyznam się, że wcale nie sądzę, bo się na tem nic a nic nie znam... Ja wogóle społecznikiem nie jestem...

— A czem pan jest? — zapytała wesoło Hela.

— Jak pani myśli?

— Nie trudno odgadnąć — wtrąciła z uśmiechem Anielka — trochę maminym synkiem, trochę próżniakiem, a zresztą bardzo dobrym chłopcem, którym można pokierować tak i owak...

— A więc kierujcie mną, łaskawe panie — wyrzekł Ludwik z komiczną powagą.

— O, nie — zawołała panna Lidzińska — zbyt wielki wygodniś z pana... Musi pan sam pokierować sobą...

— Więc mi pani odmawia swojej pomocy?

— Odmawiam stanowczo.

Spojrzenia Heli i Ludwika zwarły się ze sobą na długą chwilę, jakby oczy chciały dopowiedzieć to, czego nie mogły wymówić usta.

Potem Hela nagle odwróciła głowę i zaczęła mówić coś do Walczaka bardzo szybko, trochę bezładnie...

W mózgu dziewczyny wiła się uporczywie jedna myśl. Jakże ten ładny, miły chłopiec ze szczeremi, niebieskiemi oczyma i serdecznym uśmiechem, daleki jest od ideału mężczyzny, który sobie wymarzyła...

A jednak lubi go, lubi stanowczo i to z każdym dniem więcej...

Ale poco właściwie o tem myśleć tyle?... Czyż to mało jest ludzi, których się lubi... Ot, Michnik, Walczak na przykład...

Hela chciałaby oszukać samą siebie, ale czuje, że to nie to samo...

— Wiecie państwo, cobym zaproponował — odezwał się Ludwik — dzień taki śliczny, a wy go marnujecie na dyskusye... Chodźmy lepiej wszyscy na spacer...

Mówił „wszyscy", ale patrzył tylko na Helę. Zauważyła to Anielka i uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ja nie mogę iść — oświadczyła Walczakowa — mam ważne zajęcia gospodarskie...

— Ja także zostanę — rzekła Józia, która, według określenia Walczaka, miała swój „gospodarski dzień" — będę ci pomagała, Anielko...

— A może i ja się paniom przydam — ofiarował pospiesznie swoje usługi Michnik.

— Wątpię bardzo — zrobiła pogardliwą minkę Józia.

— Ależ, owszem — ujęła się za Michnikiem Anielka — przyjmujemy chętnie pańską pomoc...

— To i mnie chyba zwolnisz, Ludwiku, od tego spaceru — uśmiechnął się Walczak — bo i ja mam coś do roboty...

— Uwolnię cię — odparł ze wspaniałomyślnym gestem Ludwik — a zwracając się do Heli, rzekł: może pani zlituje się przynajmniej nademną i zechce mi towarzyszyć?

— Mogę pójść — odpowiedziała panna i zarumieniła się zupełnie nie w porę.

Józia pochyliła się do ucha Anielki i szepnęła cichutko:

— A to ci studentka raki piecze!... Zakochała się w panu Ludwiku na amen...

Anielka obejrzała się przestraszona, czy kto nie dosłyszał, ale wszyscy wstawali właśnie od stołu i nikt nie zwrócił uwagi na szept Józi.

— — — — — — — — — — — — — —

Liliowe cienie zmierzchu kładły się już po polach, kiedy Ludwik z Helą wracali ze spaceru. Pastuchy spędzali bydło z pastwisk, a ode wsi niosły się dźwięki dzwonu, nawoływującego do modlitwy: „Na Anioł Pański"...

Hela niosła w ręku wielką wiąź rumianków, a towarzysz jej obracał w palcach kilka takich samych białych, gwiaździstych kwiatów...

Szli oboje cisi, zadumani, rozmarzeni... Przedtem rozmawiali żywo, kłócili się trochę, opowiadali sobie wiele, ale teraz umilkli...

Dobrze im było ze sobą w tym zmierzchu różowo liliowym i czuli, że wszelkie słowa są zbyteczne, bo cisza mówi za nich.

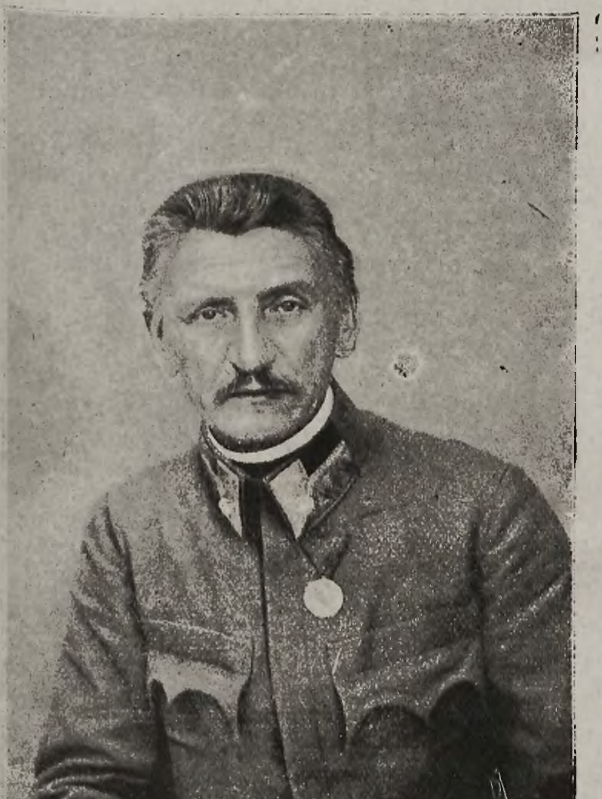
(Ciąg dalszy nastąpi).

Odznaczenie dwu Krakowian.

Z chwilą, gdy na terenie Królestwa Polskiego, okupowanym przez armię austryacko węgierską, zaprowadzono nową administracyę, powołano z Galicyi, do pełnienia różnych funkcyi, wielu urzędników, przydzielając ich do jeneralnego gubernatorstwa, częścią zaś do komend obwodowych. Działalność ich natrafiła początkowo na trudności, miejscowa ludność, nauczona doświadczeniem z poprzedniego stosunku swego do władz rosyjskich, odnosiła się i względem nich z nieufnością, z czasem przecież prysły te lody. Między ludnością miejscową i władzami okupacyjnemi wyrobiło się przyjazne współżycie, oparte na wzajemnem zaufaniu.



Wzorowa szkoła I. Koła T. S. L.: Nauka.



Odznaczenie dwu Krakowian: St. Dębno Krzyżanowski, c. k. radca policyi, szef departamentu przy c. i k. jeneralnem gubernatorstwie w Lublinie.

Zasługa to urzędników, którzy gorliwie i prawdziwie po obywatelsku zabrali się do pracy, nie zrażając się trudnościami, na jakie napotykali. Władze i ludność uznały te ich zabiegi, pierwsze nie szczędząc im zasłużonych odznaczeń, druga — darząc ich pełnem zaufaniem.

W licznym szeregu odznaczonych znajdują się i dwaj Krakowianie, znani i cenieni w najszerszych kołach naszego miasta.

Pierwszym z nich to Stanisław Dębno Krzyżanowski, c. k. radca Policyi, przed wojną naczelnik ekspozytury policyjnej w Podgórzu, obecnie szef departamentu w jeneralnem gubernatorstwie w Lublinie. Za swą pracę i poświęcenie dla dobra ogółu, czego dawał zawsze dowody w czasie swego urzędowania tak w Galicyi, jak i w Królestwie i dla czego zjednał sobie tak tutaj, jak i tam, ogólny szacunek i sympatyę, ozdobiony został krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa na wstędze medalu waleczności.

Dzielnie sekundował mu p. Władysław Brayer, adjunkt krakowskiej Dyrekcyi policyi, przydzielony do c. i k. Komendy obwodowej w Lublinie, obecnie przeniesiony do komisaryatu cywilnego krakowskiej Komendy twierdzy. Za owocną działalność na terenie okupowanym ozdobiony został p. Brayer złotym krzyżem zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności.

Obaj odznaczeni Krakowianie swą gorliwością, taktem i obywatelskiem pojmowaniem przykrych nieraz i ciężkich obowiązków urzędowych zyskali sobie ogólne uznanie, sympatyę i wdzięczność tamtejszego społeczeństwa.

Zjazd nauczycielstwa polskiego w Radomiu.

W dniach 28, 29. i 30. grudnia zeszłego roku odbywał się w Radomiu zjazd nauczycielstwa ludowego obydwóch okupacyi, zwołany przez Centralne Biuro Szkolne wraz z radomską Komisyą Szkolną. Na zjazd przybyli również reprezentanci „Związku nauczycielskiego polskiego“ z Galicyi, a mianowicie prezes p. Stanisław Nowak, wiceprezes p. Smulikowski i dr. Kanarek z Krakowa, tudzież dyrektor p. Bałaban ze Lwowa. Delegatów ogółem przybyło 86, reprezentujących 3700 nauczycieli, należących do poszczególnych stowarzyszeń nauczycielskich. Prócz tego przybyło bardzo wiele gości. Przewodniczył p. Prauss, prezes C. B. Sz. z Piotrkowa.

Na zjeździe wygłoszono szereg referatów, a mianowicie: p. Zaborowska (Piotrków): Postulaty materyalne nauczycielstwa; Sempołowska (Warszawa): O co walczy nauczycielstwo w Europie? Bałaban (Lwów): Organizacya szkolnictwa w Galicyi; ks. Rokoszny (Radom): Sprawy szkolnictwa w okupacyi austryackiej; prof. Gąsiorowski (Warszawa): Stan szkolnictwa w okupacyi niemieckiej; dr. Kanarek (Kraków): O przygotowaniu do zawodu nauczycielskiego i kilka innych.



Odznaczenie dwu Krakowian: Władysław Brayer, adjunkt c. k. Dyrekcyi policyi, przydzielony poprzednio do c. i k. Komendy obwodowej w Lublinie, obecnie przeniesiony do komisaryatu cywilnego twierdzy krakowskiej.

Zarys organizacyi nauczycielskiej przedstawił p. Nowicki, nauczyciel z Warszawy. Sprawa ta wywołała obszerną dyskusyę, po której uchwalono otworzyć odrębną organizacyę nauczycielstwa ludowego na terenie Królestwa Polskiego. Następnie uchwalono szereg wniosków, dotyczących wewnętrznych spraw organizacyi. Nowo utworzona organizacya nosić będzie nazwę: „Zrzeszenie nauczycielstwa szkół początkowych“ z siedzibą w Warszawie.



Wzorowa szkoła I. Koła T. S. L.: Ogródek.



Zjazd nauczycielstwa polskiego w Radomiu: 1) Ks. Rokoszny (Radom), 2) P. Praus, kierownik Cen. Biura Szkoln. (Piotrków) przewodn. Zjazdu, 3) St. Nowak prezes „Związku Naucz. polsk.“ (Kraków), 4) T. Bałaban, dyr. szkoły (Lwów), 5) T. Smulikowski, wiceprez. „Związku N. P. (Lwów), 6) dr. H. Kanarek (Kraków).



Z pamiętnych dni w Polsce: Powitanie szóstego pułku Legionów w Lublinie. Superior polowy ks. Czyżewicz udziela błogosławieństwa w obecności jenerał-gubernatora ...uka.



Z frontu krakowskich dzieci: Dekoracya za waleczność w oddziale karabinów maszynowych. Dekoruje komendant oddziału porucznik Biasion.

Wśród entuzyastycznych oklasków wyrażono nadzieję i zamiar połączenia się w przyszłości ze Związkiem polskiego nauczycielstwa ludowego w Galicyi, w której to sprawie przemawiał gorąco p. Nowak, prezes „Związku nauczycielstwa polskiego" z Krakowa. W dyskusyi, wśród serdecznego nastroju, stwierdzono jedność zapatrywań na program szkolny i zawodowy nauczycielstwa z Królestwa z nauczycielstwem w Galicyi, reprezentowanem przez wymienionych delegatów. Uchwalono również uznanie C. B. Sz. w Piotrkowie za dotychczasową bogatą w owoce działalność, przyczem postanowiono zwrócić się do władz z przedstawieniem, by cofnięto nakaz rozwiązania tejże instytucyi.

Odnośnie do spraw materyalnych nauczycielstwa uchwalono następujące wytyczne: Równość płacy zasadniczej dla wszystkich kwalifikowanych nauczycieli (z uwzględnieniem różnych dodatków na mieszkanie), równość płacy dla nauczycieli i nauczycielek i cały szereg wskazań, dotyczących stosunków prawno służbowych.

Zjazd zakończono szeregiem przemówień pp. Praussa, Dębskiego (na cześć wojska polskiego wśród huraganu oklasków), Smulikowskiego, ks. Rokosznego. Organizatorowi zjazdu p. Praussowi, kierownikowi C. B. Sz., jak również delegatom z Galicyi urządziło zgromadzenie serdeczną owacyę.

Obrońca Gorlic.

Sławnemi się stały w całem świecie Gorlice — od nich to bowiem rozpoczyna się niebywale zwycięski pochód armii sprzymierzonych w dniu 2-go maja 1915 roku. A ze sławą Gorlic najściślej związanem być musi imię ich dzisiejszego komisarza rządowego, księdza prałata Bronisława Swieykowskiego.

Ująwszy w swe ręce z końcem września 1914 r. obowiązki burmistrza w Gorlicach, jeszcze w czasie przemarszu naszej armii z pełnem poświęceniem, narażając się na rozliczne niebezpieczeństwa, spełniał je nie tylko w magistracie, ale, nie zapominając o swej misyi kapłańskiej, także w szpitalach polowych, przepełnionych podówczas rannymi i chorymi na cholerę, dysenteryę i tyfus żołnierzami, a niósł im nie tylko pomoc i pociechę duchową, lecz spieszył także i z pomocą materyalną. Największe jednak zasługi dla mieszkańców Gorlic położył ks Swieykowski podczas pierwszej i drugiej inwazyi rosyjskiej. Z nim znajdzie się ktoś, kto będzie miał możność skorzystać ze spisywanych dyaryuszy z owych strasznych dla Gorliczan czasów i dokładnie pozbierać rysy charakteru tego świątobliwego i prawdziwie w duchu Chrystusowym pracującego kapłana, zaznaczyć należy, że budził on powszechny podziw nie tylko taktem, energią stanowczością wobec wroga i urzędujących w Gorlicach rosyjskich władz wojskowych, ale wprost swoim heroizmem, jaki okazywał na każdym kroku, stykając się w sprawach miejskich z rosyjskimi komendantami.



Obrońca Gorlic: Ks. Bronisław Swieykowski.

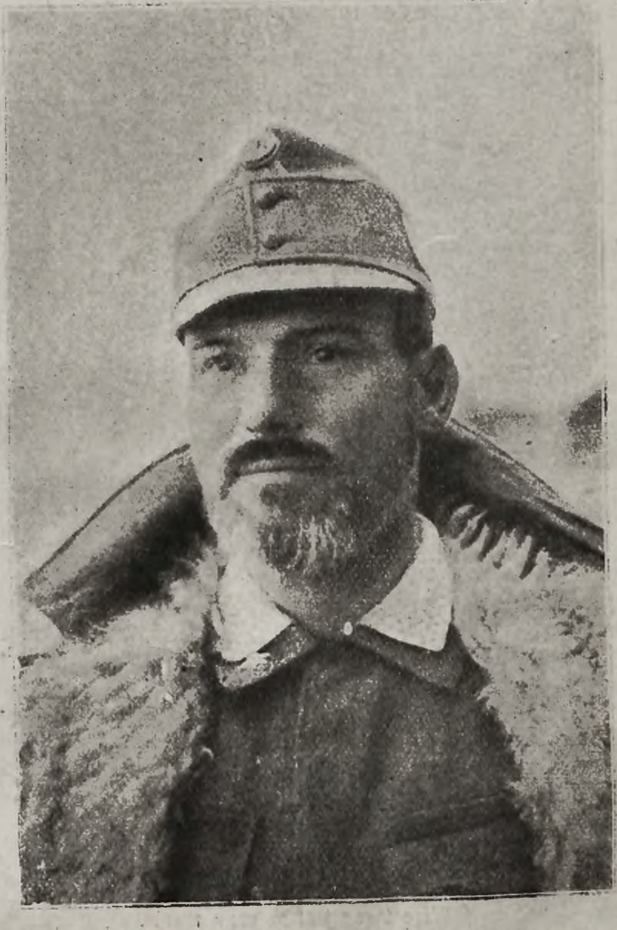
Do dziś dnia stoi przed oczyma tych, którzy w czasie pierwszej inwazyi pozostali w Gorlicach, obraz tego kapłana w chwili, gdy kilku kozackich zbirów, siedzących na koniach z gotowymi do strzału rewolwerami konwojowało go jako zakładnika do mieszkania ówczesnego komendanta miasta hr. Szeremetjewa. I w tej nawet chwili szedł on nie z miną więźnia, lecz raczej tryumfatora. Ta stanowczość, powaga i spokój, nigdy niczem wzruszyć się nie dający — zjednać mu musiały nawet i wobec wrogów cześć i szacunek, a dzięki temu za jego wpływem wielu mieszkańców Gorlic zostało wybawionych z ciężkich opresyi i prześladowań ze strony władz rosyjskich.

Wśród padających codziennie przez cztery przeszło miesiące szrapneli i granatów na miasto, Gorliczanie widzieli „księdza burmistrza" wszędzie, gdzie tylko potrzeba było nieść pomoc, czy rannym, czy głodnym, czy we dnie, czy w nocy. — Gdy inni kryli się po piwnicach, on wśród największej strzelaniny obchodził troskliwie całe miasto.

Nie szukając pochwał ludzkich, ks. Swieykowski wszystkie swoje siły oddał dla dobra drugich — niosąc pomoc wszystkim, bez żadnych wyjątków.



Z frontu krakowskich dzieci: Książę Leopold bawarski w otoczeniu sztabu na froncie 13. pułku piechoty.



Z frontu krakowskich dzieci: Stefan Turski, popularny artysta dramatyczny i autor.

To też zaskarbił sobie ogólną wdzięczność i miłość. Wyraz uznania dla tej pełnej poświęcenia działalności kapłana-burmistrza dały również i władze polityczne, które po skończonej inwazyi pozostawiły w jego rękach burmistrzowstwo, a w połowie listopada 1915 roku generał Collard, jako ówczesny c. k. namiestnik, przesłał księdzu Świeykowskiemu nominacyę na komisarza rządowego miasta Gorlic.



Z frontu krakowskich dzieci: Pułkownik Poczinski dekoruje trzynastaków za waleczność.

Z frontu krakowskich dzieci.

Pułk trzynasty „krakowskich dzieci" w obecnej wojnie światowej dawał bez przerwy dowody swego męstwa. W lipcu ubiegłego roku za wywalczenie przejścia przez rzekę Mołdawę (w obronie Bukowiny) wyszczególniony został w komunikacie naczelnej Komendy.

Zahartowana, doświadczona, bez przerwy w boju, nasza „trzynastka" przeszła kilka razy wszerz i wzdłuż cały kraj. Mimo to nasi chłopcy po dziś dzień nic nie stracili ze swej brawury i humoru, a za mężną postawę żołnierską zostali pochwaleni przy przeglądzie przez księcia Leopolda Bawarskiego. Pojedynczo każdy z nich zda się spoważniał, nabrał tężyzny ducha, lecz humor nigdy naszych zuchów nie opuszcza. Niech tylko zbierze się kilku razem, a już sypią się dowcipy, żarty, naturalnie wszystkie połą zone ze wspomnieniami o ukochanym Krakowie.

Bo rzeczywiście Krakowa tu na froncie „trzynastki" więcej, niż w samym Krakowie; młodzież uniwersytecka, profesorowie gimnazyalni, magistrat, straż ogniowa, handlowcy, sportowcy, kelnerzy i jak powiada kolęda:

> Szewcy, krawcy, cyrulicy
> Kuśnierz, piekarz, powroźnicy i t. d.

Handel, rękodzieła, przemysł, nauka i sztuka, wszystkie te działy mają swoich przedstawicieli... Jedynie ta ostatnia jest bardzo skromnie reprezentowana przez jednego, jedynego przedstawiciela „Melpomeny", popularnego artystę i autora, Stefana Turskiego. Lecz, że „Melpomena" nigdy nie żyła



Z frontu krakowskich dzieci: Wydawanie obiadu. Na prawo komendant kompanii nadporucznik Kopak.

w zgodzie z „Marsem", więc i ten jedyny jej przedstawiciel zamienił miecz walecznych na... wóz prowiantowy, gdyż, jak sam o sobie mówi, w figlarnych strofach z wojenki:

> Służyłem wprzód w tyralierce,
> Marząc wciąż o Melpomenie,
> Lecz, że mam na odwrót serce,
> Więc teraz jestem przy trenie.

Naturalnie przy trenie znalazł sympatyczny autor dosyć czasu na „treny"... lecz nie żałosne. — Jak fama niesie, wykończył „Rewietę wojskową" z życia swych zuchów w polu, ze śpiewami i tańcami. — Wesoła i fi-larna, jak nasi Krakowiacy, których humor nie opuszcza nawet w największem niebezpieczeństwie. Po skończonej woience Kraków będzie miał sposobność oklaskiwać swego ulubieńca i jego nowe typy, wystudyowane tu na froncie, wśród świstu kul.

O obchodach uroczystych, związanych z tradycyą Krakowa nie zapominaja trzynastacy. — Mieli więc swego „Mikołajka". Kolędników ze Szopką i Osiołkiem „Pasterkę", „Sylwestra", „Trzech Króli". W czasie mszy pasterskiej, odprawionej przez księdza kapelana pułkowego w miejscowym kościółku, odśpiewał chór trzynastaków z towarzyszeniem orkiestry szereg kolęd. Po skończonem nabożeństwie, gdy starszyzna opuściła świątynię, zgromadzili się Krakowiacy koło żłóbka, wykonanego przez oddział pionierów, jeden wydobył z kieszeni olbrzymie „Kantyczki krakowskie" i przy bladem świetle lampki lojowej, poklękawszy na kolana, jak pastuszkowie, kolędowali długo w noc swemu kochanemu Dzieciątku, jakby pragnęli sobie wynagrodzić, że nie mogą kolędować u Dominikanów, św. Barbary Franciszkanów i w innych krakowskich świątyniach.

Nad świeżą mogiłą.

Nieubłagana śmierć zbiera ciągle obfite żniwo. Niema dnia, by nie ubył ktoś z grona naszych najbliższych, a pokos jej nie oszczędza nikogo, młody, czy pochylony wiekiem. Jeśli starzec zamknie oczy i wykreślonym zostaje z pośród żyjących, godzimy się z losem, jeśli jednak odejdzie od nas człowiek w pełni sił i zapału do pracy, boleść nasza tem większa.

I znów stoimy nad świeżą mogiłą, w której spoczął ś. p. Jan Kukucz, profesor gimnazyum św. Anny w Krakowie. Urodzony w roku 1870 w Końskiej na Śląsku austryackim, po ukończeniu studyów w Cieszynie, Krakowie i Wiedniu, poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu i pracował owocnie nad wychowaniem młodego pokolenia, tej nadziei narodu. Prócz zajęć zawodowych brał też żywy udział w ruchu narodowym, zwłaszcza na Śląsku.

Po odbyciu praktyki nauczycielskiej w gimnazyum św. Anny, gdy tylko otwarto w roku 1895 polskie gimnazyum w Cieszynie, zaczął pracować dla dobra swych rodaków. Władze szkolne śląskie nie zgodziły się jednak na ochoczego, ale nieegzaminowanego kandydata, musiał też szukać na razie zajęcia w Galicyi i pełnił obowiązki zastępcy nauczyciela w III gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, skąd, po uzyskaniu kwalifikacyi nauczycielskiej, wrócił do gimnazyum polskiego w Cieszynie w roku 1898. Dobiwszy do upragnionego celu, nie zaznał jednak spokojnego żywota. Energiczny i pełen werwy nauczyciel pragnął szybkiego postępu polskości w swej rodzinnej krainie, zaczął działać poza szkołą w różnych towarzystwach oświatowych i nie nadał się nie tylko niechętnym temu rozwojowi władzom, lecz nawet powolnym, do uległości nawykłym kierownikom narodowym.

To też, kiedy udzielony mu urlop ze szkół galicyjskich się skończył, a gimnazyum cieszyńskie upaństwowione jeszcze nie zostało, musiał rozgoryczony ustąpić ze swego rodzinnego zakątka i przenieść się znowu do Galicyi. Tu dostał się najpierw do gimnazyum w Złoczowie, a gdy ostry klimat tamtejszy zaczął mu szkodzić, przeniósł się do II. gimnazyum w Rzeszowie, a stamtąd w roku 1910 do Krakowa.

Ciężka praca zawodowa zawcześnie podcięła jego zdrowie, a śmierć żony i rozbicie ogniska domowego — również źle na niego wpłynęło.

Choć ciało u niego niedomagało, duch jego był zawsze silny, nieugięty do ostatniej chwili. Utrwalonym raz swym zasadom narodowym nie sprzeniewierzył się nigdy, występował z niemi i bronił ich zawsze i otwarcie. Był to typ twardego Ślązaka i szkoda, że nie danem mu było działać dłużej na Śląsku.

Cześć Jego pamięci!



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. Jan Kukucz, profesor gimnazyum św. Anny w Krakowie.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

12

— Zapierał się i gniewał nawet, że podejrzywam go o takie rzeczy. Ja jednak nie wierzyłem mu i trwałem w swoiem przekonaniu. Smutek jego, przechodzący już w dziką mrukliwość, mógł mi podsunąć łatwo podobne myśli. Zmartwienie dziwnie niszczy człowieka! Zresztą nie on jeden chodził ze swoim smutkiem po świecie! Są tacy, którzy się śmieją, a których dusza bardziej chora, niż gdyby łzy wylewali.

Głos Jerzego Montin zabrzmiał tak rozpaczą i zniechęceniem, kiedy to mówił, że pan Ginory znowu spojrzał na niego z gorącem współczuciem i litością.

— Nie będę wspominał — mówił tymczasem Montin — o wszystkich szczegółach naszego życia. Rozmowa nasza za długo by potrwała. Kiedy lata naszej młodości radośnej ubiegły bezpowrotnie, spotkaliśmy się znowu z Rovérem. On był zmieniony do niepoznania. Zmęczony, pragnący tylko spokoju. Wybrał sobie to ciche mieszkanie na bulwarze Clichy, zdala od zgiełku miasta i zagrzebał się w niem do końca dni swoich, przesiadując długie godziny przy kominku, w otoczeniu obrazów swoich i książek ulubionych. Wychodził bardzo rzadko w dni pogodne, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Ja zaś prowadziłem dalej moje nędzne życie, ogłuszając się, pokrywając sztucznym humorem ogarniającą mnie apatyę. A przecież tyle sił niespożytych, tyle energii czułem w sobie, tylko zepchnięty raz z dobrej drogi nie umiałem i nie miałem dla kogo ich zużytkować.

— Podziwiałem już tę energię pana i moc panowania nad sobą. — przerwał żartobliwie pan Ginory.

Jerzy Montin uśmiechnął się smutnie.

— Chciałem całą siłą bronić cudzej sprawy — odpowiedział — ale i to nie powiodło mi się. Rovere serdecznie i delikatnie starał się wpłynąć na moje usposobienie, napominał mnie, gderał i gniewał się nawet. Nie zwracałem na to uwagi i często zachodziłem do niego na wieczorną pogawędkę przy kominku, w której wspominaliśmy lata młode, razem przeżyte. Wiem, że uczyniłem mu raz wielką radość, ofiarując portret swój, malowany przez Pawła Baudry. Było to już dawno, bardzo dawno! Powiesił go w swoim salonie, niedaleko kominka i często mawiał do mnie:

— Wiesz, Jerzy, jak cię niema, a brak twój zanadto mi się odczuć daje, rozmawiam z tym portretem, jak z tobą. A wówczas właśnie rzadko przebywałem w mieszkaniu Rovera przy bulwarze Clichy. Życie Paryża porywało mnie to w tę, w owę stronę. Te dnie, które tak długie mi się być zdawały, kiedy miałem lat dwadzieścia — uciekały teraz z przed oczu moich z przerażającą szybkością. Tak mnie to gorączkowe, szybkie życie całkowicie absorbowało, że nie miałem czasu poświęcać się więcej mojemu przyjacielowi i zjawiałem się u niego coraz rzadziej. Jakże ja teraz tego żałuję! Bo, gdybym był więcej wglądał w jego życie, więcej zajmował się nim, może to straszne nieszczęście nie byłoby nastąpiło.

— Tak pan sądzi? — zapytał z zainteresowaniem pan Ginory, patrząc pytająco na Montin'a.

— Tak i czynię sobie teraz gorzkie wyrzuty. Ale człowiek doprawdy ciekawem jest stworzeniem. Żałuje najwięcej tego, co już stracił, a kiedy ma je blizko w obecności swojej, zachowuje się obojętnie, lub zimno.

— Pewnego dnia, było to rano, w chwili, kiedy wracałem z klubu, gdzie przepędziłem noc całą na przegraniu sumy, która stałaby się mogła szczęściem całej rodziny, zastałem na mojem biurku telegram miejscowy od Rovere. Jeżeli przeszukiwano moje papiery, musiano go odnaleźć, bo pamiętam, że zachowałem go. Rovere w kilku słowach błagał mnie o natychmiastowe przybycie do siebie. Dreszcz nie spokojny wstrząsnął mną. Miałem przeczucie, że stało się coś bardzo ważnego, lub może nawet niebezpiecznego dla mojego przyjaciela. Pismo na tej pneumatycznej kartce drżące było i zmienione do niepoznania. Byłem wściekły na siebie. Depesza ta oczekiwała na mnie już dzień cały, podczas kiedy ja bawiłem się w najlepsze. Kto wie, co do tego czasu stać się mogło!

Gdybym był, udawszy się na bulwar Clichy, zastał Rovera nieżyjącego już — byłbym sobie czynił gorzkie wyrzuty całe życie. Wiadomość o zamordowaniu była dla mnie strasznym ciosem, ale przynajmniej w tym kierunku nie mam sobie nic do zarzucenia! Przeczytawszy tę nieszczęsną kartkę, wybiegłem na ulicę, wskoczyłem do dorożki i kazałem się co koń wyskoczy zawieźć do mieszkania Rovera. Na schodach spotkałem panią Moniche, go pędynię jego.

— Ah! — zawołała, ujrzawszy mnie — Idzie pan odwiedzić pana Rovre. Przepędziliśmy noc straszną. Byłam pewna, że ten biedny pan rana nie doczeka.

— Czy stało się jakie nieszczęście? — zapytałem niespokojnie.

— No, teraz jest już lepiej.

Dowiedziałem się, że dnia poprzedniego Rovere dotknięty nagle został atakiem sercowym, który na szczęście nie potrwał długo. Jak tylko przyszedł do przytomności i mógł utrzymać pióro w ręce, pomimo zakazu doktora wysłał depeszę do mnie. Czekała ona na mnie tyle godzin niestety. Kiedy oznajmiono mu o mojem przybyciu, zażądał, abym natychmiast wszedł do jego pokoju. Byłem silnie wzruszony. Ten człowiek, zawsze panujący nad sobą, zimny i małomówny, wyciągnął do mnie ramiona i obejmując mnie serdecznie — zapłakał gorąco.

— Oh! Ty! Ty! — szepnął mi do ucha — Ty! Gdybyś wiedział! Gdybyś ty wiedział!

Głos jego pełen łez i smutku poruszył do głębi moje serce. Byłem tak wzruszony, że nie mogłem się zdobyć na żadne słowo. Rysy jego twarzy, zazwyczaj energiczne i spokojne, miały w sobie jakiś przygniatający wyraz dziecinnego zmieszania i lęku. Z oczów, szeroko otwartych, płynęły grube łzy, znacząc szare bruzdy na twarzy.

— Jakże ja na ciebie czekałem... Jakże czekałem... Dzień cały i noc...

Powtarzał kilkakrotnie to zdanie z dziwnym uporem. Po chwili bezsilnie upadł na poduszki. Nagła duszność, spowodowana widocznie wzruszeniem, tłumiła jego oddech i przyspieszała bicie serca. Mój widok przypominał mu straszny lęk tej długiej nocy, gdyż sądził, że umrze, nie porozumiawszy się przedtem ze mną.

— Bo, wiesz, ja ci mam coś powiedzieć — podjął znowu gorączkowo — zwierzyć ci całą tajemnicę mojego życia... Czuję, że to już koniec... Ty jeden wiedzieć musisz...

— Uspokój się — prosiłem — niema nic nagłego. Wzruszenie cię męczy... Później, kiedy więcej sił nabierzesz...

— Nie, nie! — odparł nerwowo, potrząsając głową — Teraz! Teraz musisz wszystkiego wysłuchać, później może być zapóźno.

Leżał wyciągnięty na obszernej otomanie, gdzie zwykle przepędzał długie godziny, czytając książki i dzienniki. Ujął mnie za rękę i kazał mi usiąść.

— Ja wkrótce umrę, Jerzy. — rzekł smutnie — Byłem pewny, że dziś w nocy skoń zy się wszystko. I tak cię wołałem, tak pragnąłem cię widzieć po raz ostatni. I wiesz, gdyby się to było stało tej nocy, stałaby się pewnej istocie wielka krzywda. Nie otrzymałaby bowiem majątku mojego, który jej się prawnie należy... Bo widzisz, Jerzy, ja... ja mam...

Urwał wyczerpany i głos jego słaby przechodził w szept stłumiony. Spojrzał błędnie wokoło i wyczytałem w jego oczach lęk, aby ktoś nie podsłuchał naszej rozmowy.

— Możesz mówić spokojnie — rzekłem — tu niema nikogo oprócz ciebie i mnie.

— To dobrze. — wyszeptał z ulgą — Ja mam córkę, Jerzy...

— Córkę? — zawołałem zdziwiony, nie mogąc ukryć zdumienia, jakie ta wiadomość wywołała we mnie.

— Tak, córkę. Nawet przed tobą, który znasz całe moje życie, ukrywałem to do ostatniej chwili. Nikt o tem nie wie! Nikt. Strzegłem dobrze tej dręczącej mnie tajemnicy. Mam córkę, która mnie kocha gorąco, a która nie ma prawa wyjawić mi całego swojego przywiązania, tak, jak mnie nie wolno nadać jej swojego nazwiska. Czy ty to rozumiesz, Jerzy? Młodość nasza. Smutna, pozbawiona radości była młodość nasza! Cięży ona teraz na mnie całym okrutnym ciężarem.. Życie, Jerzy, tak, jak i ty. Miałem niejeden kaprys, fantazyę, popełniałem różne szaleństwa, a nie umiałem stworzyć sobie uczciwych obowiązków. Pamiętaj o tem, że przychodzi na każdego człowieka czas, w którym żyje tylko dla obowiązków dobrowolnie na siebie nałożonych. Gdybym o tem wcześniej wiedział, byłbym miał teraz dom swój własny, rodzinę, istotę drogą obok siebie, a w zamian tego, cóż mam teraz, co miałem w latach ostatnich? Samotność, pustkę, i to przywiązanie, którego przed ludźmi wstydzić się muszę i które nawet przed tobą, moim jedynym przyjacielem, tak tyle ukrywać musiałem. Jerzy, czy mi przebaczysz, że nie byłem dotąd całkiem szczery?

Wziąłem jego rękę i uścisnąłem ją mocno.

— Nie mogę mieć do ciebie najmniejszego żalu — odparłem — bo wierzę, że nie czyniłeś tego z własnej woli, lecz tak być musiało.

— Tak być musiało — powtórzył — tak być musiało przez wzgląd na nią. Na nią jedynie!

Jerzy Montin przerwał swoje opowiadanie. Wspomnienie to wzburzyło go i zmęczyło.

Pan Ginory, widząc jego niezwykłą bladość twarzy i osłabienie, podszedł do szafki, stojącej pod oknem i powrócił z szklaneczką, napełnioną winem.

— Niech pan to wypije — rzekł dobrotliwie — Te wszystkie przejścia podkopały organizm pana.

Montin posłuchał jego rady i odpocząwszy chwilę, znowu zaczął mówić:

— Tę rozmowę z Roverem pamiętać będę, aż do ostatniej chwili mojego życia. Wszystkie słowa jego są tak żywe w mojej pamięci, jak gdybym je dziś dopiero usłyszał. Jestto jedno z najgłębszych i najsmutniejszych wspomnień moich. A przytem, każde słowo jego boliło mnie, jakgdyby mi kto sztylet zapuszczał w serce. To wszystko co wycierpiał mój biedny przyjaciel w samotności swojej, ja przeżywałem równie silnie, ale napróżno.

I oto w tej niezapomnianej chwili Rovre zwierzył mi tajemnicę, którą tak długo ukrywał przedemną, a ja w zamian złożyłem mu przysięgę, że jej nie wyjawię nikomu. Dla tej przyczyny, panie sędzio, mówić nie chciałem, zasklepiłem się w upornem milczeniu, nie chcąc narażać nikogo, ani żyjących, ani tego, co już nie żyje, nie chcąc go narazić na złośliwe uwagi ludzi, od których tylko potępienia mógł się spodziewać.

— Tak, teraz rozumiem... Zaczynam rozumieć — szepnął pan Ginory, niemniej przejęty od Jerzego Montin.

— Przysiągłem Roverowi zachować do śmierci tę jego smutną tajemnicę. Miałem ją tylko wyjawić jej, jej jednej.

— Któż ona jest?

— Jego córka!

Wtedy pan Ginory przypomniał sobie „damę w czerni“, która, według zeznań pani Moniche, niekiedy odwiedzała byłego konsula i o której rozeszły się tak romantyczne wieści, poparte sensacyjnymi artykułami reportera, Pawła Rodler.

— No i ta córka? — zapytał po chwili sędzia.

— Nosi nazwisko ojca, które prawo jej nadało — odparł z goryczą Jerzy Montin — nazwisko sławne i znane ogólnie, nazwisko wysokiego wojskowego, będącego już na emeryturze. Mieszka on na prowincyi ze swoją żoną i kocha tę córkę, nie wiedząc, że to nie jest dziecko jego rodzone.

— A matka?

— A cóż? Matka żyje dalej z mężem swoim, pielęgnuje go, otacza staraniem zrodzonem z ciężkich wyrzutów sumienia, ale tym sposobem zachowuje wszelkie pozory kochającej żony i matki. Mąż jej nie domyślał się nigdy niczego.

— A córka?

— Córka od lat paru została sama uświadomioną przez matkę, która niebezpiecznie się rozchorowała. Będąc przekonaną, że umrze, zwierzyła córce tajemnicę jej pochodzenia. Spowiedź ta, uczyniona przed własnem dzieckiem, była jej pokutą i zadośćuczynieniem dla niespokojnego sumienia. Wtedy to, za rozkazem matki, młoda dziewczyna zaczęła od czasu do czasu odwiedzać swojego prawdziwego ojca. Lecz przez pietyzm dla człowieka, którego nazwisko od urodzenia nosi, szlachetna dziewczyna zachowała głęboko w sercu wyjawioną tajemnicę, wyrzekła się na zawsze małżeństwa i dni całe poświęca się tamtemu, przykuta do jego pokoju, osładzając mu gorącem przywiązaniem cierpienia fizyczne, którym uległ na starość.

— Więc ten człowiek jest chory?

— Sparaliżowany od lat kilku, utracił władzę w nogach i potrzebuje troskliwej opieki.

— Ah! — szepnął pan Ginory po dłuższem milczeniu — To dla tej przyczyny pan tak uparcie milczał, panie Montin?

— Tak, panie sędzio.

Pan Ginory był głęboko wzruszony tym prostym, a tak wstrząsającym dramatem rodzinnym. Jasność jakaś opanowała umysł jego, widział teraz wszystko i rozumiał doskonale. Ogarnęło go nagle uczucie wstydu, że tak źle mógł osądzić tego człowieka, który z zaparciem się siebie, gotów na wszelkie ostateczności, chciał do ostatniej chwili ochronić pamięć drogiego przyjaciela.

— Przepraszam pana, panie Montin! — rzekł z prostotą, wyciągając rękę.

Twarz Montin'a rozpromieniła się wewnętrznem

zadowoleniem, kiedy ściskał serdecznie dłoń, do niego wyciągniętą.

— Pragnąłem gorąco — odezwał się — aby ta chwila nadeszła bez potrzeby zdradzenia tej smutnej tajemnicy, powierzonej mi — ale trudno! Widocznie inaczej być nie mogło! Kiedy to ciężkie oskarżenie pana spadło na mnie w sposób tak nieoczekiwany, chciałem energicznie stawić czoło losowi, licząc na sprzyjające okoliczności, które będą mogły wykazać moją niewinność. Chciałem walczyć z przeznaczeniem! Pragnąłem z gorączkową ciekawością śledzić wynik tej strasznej walki, wytoczonej mi i ujrzeć się zwycięzcą. Ale przerachowałem się ze swojemi fizycznemi siłami. Przyszła chwila, że już nie mogłem znieść tych tortur i widząc, że pomoc oczekiwana nie nadchodzi, zdecydowałem się mówić, aby tylko odzyskać wolność utraconą i wyjść z tej celi, która mnie do szaleństwa doprowadzić mogła. Niech mi pan wierzy, panie sędzio, w tej chwili czynię sobie gorzkie wyrzuty za tę słabość która mnie popchnęła do złamania przysięgi. Powinienem był jej pozostać wiernym aż do końca. Ale cóż, natura fizyczna człowieka słabszą jest od duchowej. Zmogła mnie ona prędzej, niż się tego spodziewać mogłem.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby pan nigdy nie żałował tej chwili szczerości i zaufania, jakiem pan mnie obdarza. — odparł poważnie pan Ginory.

— Dziękuję panu. Ale to cieżkie, bardzo ciężkie przejście dla mnie. Nie zapomnę nigdy radości Rovera, kiedy, uspokojony już, mówił mi, że ta, którą córką swoją nazywa, nie jest bogatą, gdyż żyje razem z matką jedynie z emerytury, którą pobiera ojciec, ale, dzięki jemu, przyszłość jej będzie zabezpieczona.

— Ta niewinna dziewczyna — mówił — nie może odpowiadać za jeden zły krok dwojga ludzi. Młoda jest jeszcze bardzo, a ten, którego pielęgnuje dziś z takiem poświęceniem i zaparciem się siebie, nie będzie już długo żył. Mój majątek stanowić będzie jej posag, a wówczas stworzyć sobie będzie mogła życie według upodobania.

— Majątek ten Rovere chciał mnie powierzyć. Część tylko swoich pieniędzy złożył był jeszcze dawniej u swojego notaryusza, ale resztę zachował u siebie w kasie. Nie dowierzał ludziom i nie lubił ich. Ogólnie myślano, że jest skąpym. Ale była to pomyłka. Lubiał mieć pod ręką tylko to, co do niego należało. Składał pieniądze i wartościowe papiery do kasy, jak ulubione książki do biblioteki. A może także chciał w ten sposób być nie skrępowanym i dać z wolnej ręki, bez niczyjej wiadomości, majątek swój osobie, o której istnieniu świat nie powinien był wiedzieć.

Żałuję bardzo, że dnia tego, po otrzymaniu od niego tego zwierzenia, nie zapytałem się go, jak myśli rozporządzić swoim majątkiem i w jaki sposób wzbogaci to dziecko, którego nie miał prawa nazwać swojem. Byłem tak przejęty tem, co usłyszałem i zgnębiony jego stanem, że mi to w pierwszych chwilach na myśl nie przyszło. Rzecz tę właściwie mógł łatwo załatwić przezemnie, jeżeli nie chciał w nią mieszać ludzi obcych. Nie mówiliśmy wcale o tej sprawie. Zresztą on był tak osłabiony i tak dziwnie zmieniony przebytym atakiem, że, nie chcąc go męczyć dłużej swoją obecnością, pożegnałem go, obiecując wkrótce powrócić. Jakże strasznie wyglądał, gdy tak leżał bezsilny i znużony, z oczami błyszczącemi podnieceniem i gorączką. Choroba w tak krótkim czasie uczyniła z tego silnego człowieka starca, drżącego przed nadchodzącą już śmiercią. Wyszedłem z tego smutnego domu przybity i zamyślony, unosząc ze sobą tajemnicę, której ciężar już zaczynałem czuć na ramionach swoich — mimowoli zwracając się myślą do zmarnowanej mojej przeszłości. Rovere przynajmniej jednym szlachetnym czynem mógł zmazać szaleństwa swojego przeszłego życia. Czułem na równi z nim, że obowiązkiem jego jest zabezpieczyć tę biedną dziewczynę, przykutą do łoża człowieka, którego przez lat tyle uważała za swojego prawdziwego oica. W dniu jego śmierci, który mógł być bardzo bliski, pozostanie sama, opuszczona, bez środków do życia, w małym domku, zawieszonym wśród gór w okolicy Blois. Rozumiałem dobrze, że majątek, którym rozporządzał Rovere, nie powinien przejść w ręce obojętnych i dalekich krewnych, z którymi nie łączyły go żadne stosunki za życia i trzeba było zapobiedz temu, aby prawnie ten majątek nie został im przyznany.

Ale Rovere był już umierający i czy będzie miał siły, potrzebne do przeprowadzenia tej akcyi? Nie mogłem się bowiem łudzić co do stanu jego. Doktor, którego prosiłem o towarzyszenie mi do chorego, nie ukrywał przedemną swych obaw. Rovere umierał na chorobę serca, niszczącą go już oddawna, a ostatni atak przyspieszył nieodwołalny jego koniec.

Rovere po części musiał sobie zdawać sprawę ze swojego stanu, jeżeli zdecydował się wtajemniczyć mnie w całą tę smutną sprawę.

— Kocham to dziecko — mówił mi ze łzami w oczach — a nie wolno mi nazwać je swojem i mieć przy sobie. Dobrą jest łagodną i intelligentną. Gdyby nie to, że fizycznie jest podobną do mnie, powiedziałbym, że jest piękną. Jakże czułbym się dumnym, gdybym mógł otwarcie powiedzieć całemu światu „to jest moja córka“, chodzić z nią pod rękę po ulicach, szczycić się nią, a muszę się kryć z tem uczuciem przed wszystkimi. Nie uwierzysz, Jerzy, jakie tortury moralne przechodziłem od lat tylu. Przekonałem się jednak, że to jest sprawiedliwa kara za to, że nie zawsze prawą drogą chodziłem po świecie. I ta miłość moja nieszczęśliwa! Zamiast mnie uszczęśliwić, przyniosła mi tylko rozpacz i upokorzenie.

Żałowałem go serdecznie. Przecież ten najnędzniejszy robotnik, pracujący tydzień cały w pocie czoła na utrzymanie rodziny, szczęśliwszy był od niego, bo mógł chociaż w niedzielę nacieszyć się dzieckiem swojem. A jednak Rovere w tej ostatecznej godzinie nie zapragnął zawezwać do siebie ukochanej córki, pożegnać się z nią na zawsze. Domyślałem się, że wstrzymywały go od tego kroku wyrzuty sumienia i wstyd. Mógł przecież tak łatwo sprowadzić ją z Blois pod jakimkolwiek pozorem, mógł wysłać fikcyjną depeszę, ale Rovere, czując zbliżającą się już śmierć, pragnął już tylko samotności i lękał się widocznie wrażenia tego ostatniego spotkania. Lękał się samego siebie, słabości swojej i osłabienia, które juz mu nawet mówić nie pozwalało.

— Nie chcę — powiedział mi w pewnej chwili — aby mnie Marta widziała teraz. To byłby widok za przykry dla jej wrażliwej natury. Mogłaby zachować niemiłe wspomnienie, a tego nie chcę. A przytem... przytem — dodał głębokim, surowym głosem — brak jej widoku drogiego będzie dla mnie najboleśniejszą pokutą i karą.

Rozumiałem dobrze te drażliwe przyczyny i zgadzałem się z jego wolą. Lękałem się przytem, aby to ostatnie widzenie się z córką nie było dla niego ciosem śmiertelnym. Ale już później, przy następnych moich odwiedzinach, chciałem mu przypomnieć, iż wyraził przedemną formalne życzenie zabezpieczenia przyszłości młodej dziewczyny. Chciałem, aby tym aktem okupił rzeczywiście winy przeszłości, skoro tego w innej formie uczynić nie mógł. Ale nie miałem odwagi powracać do tego tematu, bo widziałem, że z dniem każdym zaczął nabierać wiary w wyzdrowienie swoje i często wspominał o tem. Jednego wieczoru, kiedy, w dług mojego przekonania, czuł się gorzej, niż zazwyczaj, rzekł do mnie ledwie dosłyszalnym głosem:

— Wiem, o czem myślisz, Jerzy, bo umiem czytać w twoich oczach. Lękasz się o mnie, nieprawdaż? Ale mylisz się. Gdybym wiedział, że jestem nieodwołalnie zgubionym, postanowiłbym już coś względem mojej córki. Ale ja mam czas jeszcze, wierz mi, a ta rzecz stać się nie może za mojego życia.

Zadrżałem, słysząc te słowa. Ten biedak łudził się. Sądził, że czas jego nie nadszedł jeszcze! A jednak nadchodził z przerażającą szybkością a nie miałem odwagi powiedzieć mu, że dni jego są policzone. Przyszła przecież chwila, że zwalczyłem swoje skrupuły, bo już dłużej czekać nie mogłem. Zwierzenie mojego przyjaciela uczyniło ze mnie drugiego Rovera, który musiał działać za tamtego, bez sił już i woli. Czułem, że teraz ja jeden trzymam w rękach los tej biednej Marty, której nawet nie znałem osobiście, ale o której wiedziałem, że wiedzie życie, pełne poświęcenia i smutku przy sparaliżowanym ojcu, pokutując w ten sposób za tamtych, winnych! Mówiłem sobie:

— Rovere musi do rąk moich złożyć ten święty depozyt, a moim obowiązkiem jest teraz obudzić jego osłabioną wolę i popchnąć do czynu.

Zdecydowałem się na to, bo czułem, że tak powinienem był uczynić. Rovere z dniem każdym utracał siły i jasność umysłu.

Raz rano, kiedy tak, jak codziennie, poszedłem go odwiedzić, zastałem go w stanie dziwnego niepokoju i lęku. Opowiedział mi że w nocy był u niego złodziej, którego o mało nie stał się ofiarą, że drzwi do jego sypialnego pokoju wyrwane zostały i kasa przemocą otworzona. Poczem nagle urwał i zaczął się śmiać cicho. Doznałem silnego wrażenia i pochwyciłem go za puls, badadając, czy nie ma gorączki.

— To nic! To nic! — mówił dalej przerywanym głosem — Śnię głośno, oto wszystko! Musiało mi się w nocy coś przewidzieć i teraz jeszcze jestem pod tem wrażeniem. Nikt tu nie był, uspokój się Jerzy! Gdzieżby się tu mógł złodziej dostać. Pani Moniche czuwała przy mnie. Ale widzisz, mój biedny mózg taki osłabiony. A ja dosyć łajdaków w życiu swojem znałem. I teraz mi się to przypomina. Sen daje zawsze odbicie rzeczywistości. To było niegdyś. Coby teraz robił złodziej u mnie, prawda?...

Próbował śmiać się jeszcze, ale ja widziałem, że to było niezdrowe majaczenie i zaniepokoiłem się bardzo. Majaczenie to trwało parę dni. W pewnych chwilach jednak Rovere odzyskiwał przytomność.

Chciałem koniecznie skorzystać z takiej chwili i zmusić go do uczynienia tego, co zamierzał. Czułem, że on sam nie zdobędzie się już na krok stanowczy, a przecież wiedziałem, jak gorąco pragnie uiścić się z tego długu.

Byłem więc zdecydowany dopomódz mu. Było to w dniu, w którym pani Moniche widziała mnie przy kasie w towarzystwie Rovera.

Był tego dnia spokojniejszy. Kiedy przyszedłem, leżał na kanapie, owinięty w szeroki, ciepły szlafrok i przywitał mnie wesoło, podając wyschniętą, kościstą rękę.

— Czuję się dziś daleko lepiej. — rzekł, nie czekając na moje zapytanie — Zdaje mi się, że teraz choroba mnie już nie zmoże. Jak myślisz Jerzy?

Mówiąc to, wpatrywał się badawczo w moje oczy.

Ze spojrzenia tego, pełnego natężenia i w tej chwili posiadającego dziwną energię i siłę, poznałem, że ten człowiek, który dotąd lekceważył sobie śmierć i nie lękał się jej, rozpaczliwym wysiłkiem chciał powstrzymać uciekające życie.

— Zapewne żyć będziesz, mój drogi — odpowiedziałem siląc się na to kłamstwo — Już największe złe minęło i teraz powinieneś spokojnie pomyśleć o przyszłości.

— A widzisz! — odpowiedział mi radośnie — Złe minęło i teraz będziemy żyć razem, jak dawniej.

Poruszenie kwestyi, tak gorąco obchodzącej mnie, kosztowało mnie wiele, ale przeczucie jakieś mówiło mi, że dziś muszę o tem z nim pomówić, dziś koniecznie.

Usiadłem obok niego na kanapie i ująłem go serdecznie za rękę.

— Słuchaj, mój przyjacielu! — rzekłem, panując nad wzruszeniem — Czy nie sądzisz, że skoro dziś jesteś silniejszy i pełny energii, to najlepsza pora do uregulowania twojego życia na przyszłość?

Utkwił we mnie wymowne i głębokie spojrzenie i widziałem, że zrozumiał moje intencye.

— Masz słuszność, Jerzy! — rzekł z mocą — Muszę oddalić od siebie tę słabość, której się poddałem w dniach ostatnich. Pomóż mi wstać!

Wstał z kanapy, oparty na mojem ramieniu, z twarzą zdecydowaną i spokojną. Coś dziwnie szlachetnego jaśniało w niej w tej chwili. Przyglądałem się mu mimowoli z podziwem i szacunkiem. Chwiejnym niepewnym krokiem postąpił naprzód, poczem wyprostował się i odrzuciwszy moją pomoc, podszedł prosto do kasy, stojącej w rogu pokoju. Długą chwilę stał przy niej, nie otwierając jej. Nagle zaśmiał się cicho i zwrócił do mnie.

— No, patrz, Jerzy, co ta niedobra choroba uczyniła ze mnie. Zapomniałem, zapomocą jakich liter kasa moja się otwiera. Ale teraz już przypomniałem sobie.

Wyjął z wyciągniętych szuflad duży portfel, napełniony papierami, listami zastawnymi i banknotami, powrócił do kanapy i rozłożył to wszystko na małym stoliczku stojącym obok.

— Patrz, Jerzy. — rzekł z zadowoleniem — To wszystko, co ci teraz wręczę, jej oddasz. Miałem pierwotnie uczynić testament i w tym testamencie zapisać jej to, ale ciekawi ludzie zaczęliby badać, jaką rolę odegrałem w życiu i to byłoby szkodliwe dla niej. Zaczęliby grzebać w przeszłości... i matkę jej hańbą okryli... Nie, nie.. To się stać nie powinno... To, co jest moją własnością, teraz do niej należeć będzie... Ty jej to sam wręczysz Jerzy...

Ale nagle twarz jego się zmieniła. Drżącemi rękami zaczął przewracać papiery.. szukać, a w oczach jego błyszczał niepokój i przestrach.

— Cóż to ma znaczyć? — wyszeptał — Gdzież się podziały te obligacye? Niema ich... Przecież je miałem tutaj, nie w banku... Gdzież je schować mogłem...

Gorączkował się coraz bardziej i coraz niespokojniej przerzucał papiery.

Podjąłem ze stolika zwitek papierów i podałem mu, mówiąc:

— Czy to, nie jest tem, czego szukasz? Nie bądź taki niecierpliwy... Popatrz, może to właśnie te obligacye.

Wzruszył ramionami i wyrzekł pogardliwe:

— To dekoracye moje! Pamiątka z czasów, kiedy byłem jeszcze konsulem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Proklamacya Rady Stanu do Narodu.

C. k. Biuro korespondencyjne donosi z Warszawy:

Tymczasowa Rada Stanu wystosowała do narodu polskiego odezwę, w której między innemi powiedziano:

Wiekopomnym aktem z dnia 5 listopada 1916 monarchowie Niemiec i Austro-Węgier proklamowali i poręczyli niepodległość Państwa Polskiego. Wcielenie w życie tego państwa, jego rzeczywista budowa, rozciągnięcie kiedyś ogłoszonego w tym akcie niepodległego bytu państwowego na wszystkie ciążące ku Polsce, a odebrane Rosyi ziemie — oto wielkie dziejowe zadanie narodu naszego.

Zanim powstanie przedstawicielstwo narodowe z wyborów, zanim władzę zwierzchniczą obejmie Król Polski, powołaną została w celu tworzenia Państwa Polskiego, Tymczasowa Rada Stanu.

Dążeniem Rady Stanu będzie możliwie rychłe przygotowanie Sejmu prawodawczego, jakoteż opracowanie konstytucyjnego ustroju Państwa, odpowiadającego nowożytnym potrzebom i zbudowanego na zasadach równouprawnienia wszystkich obywateli.

Stworzenie licznej, bitnej, a karnej armii polskiej, któraby, wierna naszym rycerskim tradycyom, wskrzesiła dawną chwałę oręża polskiego, stanowi dla nas radosną i pilną konieczność. Świadomi jesteśmy, że taka armia, to pierwszy niepodległego bytu państwowego warunek. Przyczyni się ona do uzyskania potrzebnych Państwu Polskiemu granic i będzie powagi tego państwa reklamacyą.

Gdy zarządzenie o powszechnej służbie wojskowej wydane być jeszcze obecnie nie może, organizacya wojskowa oparta będzie na zaciągu ochotniczym, dla którego bohaterskie nasze Legiony stanowią gotowe kadry własne.

Równocześnie Rada Stanu przystąpi do pracy nad organizowaniem polskiej administracyi, zwłaszcza także polskiego skarbu, oraz dążyć będzie do stopniowego rozwoju i obejmowania poszczególnych działów służby publicznej.

Za pilne swe zadanie Rada Stanu uważa określenie i zastosowanie skutecznych środków celem gospodarczego ożywienia kraju, uruchomienia przemysłu, rozpoczęcia budowy zniszczonych siedzib i ognisk pracy, mając przedewszystkiem na względzie potrzeby pracującego ludu, rozwój jego kultury umysłowej i materyalnej.

Spełnienie wielkich zadań chwili obecnej wymaga od społeczeństwa odpowiednio wielkich ofiar. Rada Stanu starać się będzie o możliwe łagodzenie ciężarów i dokuczliwości, jakie stan wojenny za sobą pociąga. Jednakowoż z góry przewidywać trzeba konieczność ponoszenia jeszcze ciężarów i ofiar, niezbędnych do tego, by wojna wzięła pomyślny dla Polski przebieg, i na to wszyscy obywatele przygotowani być winni. Niechaj przygotowani też będą na to, że Rada Stanu w swojej działalności walczyć będzie musiała z wielu trudnościami i że owoce jej pracy nie tylko od niej zależeć będą.

Praca Rady Stanu osiągnie tem pomyślniejsze wyniki, im większem cieszyć się będzie poparciem i współdziałaniem narodu. Do współdziałania tego wzywamy, stwierdzając jednocześnie, że tworzymy nie dowolną organizacyę polityczną, temu lub innemu hasłu służącą, ale że reprezentować będziemy ciało, wyposażone w uprawnienia rządowe, które traktować będzie na równi wszystkich obywateli państwa i od wszystkich też równego dla siebie żądać będzie posłuchu.

Wszystkich synów potrzebuje dzisiaj Ojczyzna i nikomu od służby dla niej uchylać się nie wolno.

Polska Organizacya Wojskowa wobec Rady Stanu.

Całe Królestwo Polskie z zadziwiającą wprost jednomyślnością po ogłoszeniu manifestu z dnia 5 listopada stanęło na stanowisku, że armię polską może powołać tylko rząd polski. W myśl tego postanowienia zorganizowana przez Piłsudskiego a działająca na terenie Królestwa Polskiego Polska Organizacya Wojskowa prowadziła dalej swą działalność, lecz nie przystąpiła do oficyalnej akcyi organizacyjnej, co pewnym kołom, niezdającym sobie sprawy z sytuacyi, dało powód do dziwnych a niezrozumiałych ze stanowiska polskiego narzekań i obaw. Jak obawy te były nieuzasadnione, świadczy wymownie adres Polskiej Organizacyi Wojskowej złożony Radzie Stanu natychmiast po jej utworzeniu. Adres ten bowiem kończy się następującem oświadczeniem:

„Przewodnią myślą Polskiej Organizacyi Wojskowej było wytworzenie środków, któreby oczekiwany powszechnie polski rząd mógł wykorzystać dla wystawienia wojska narodowego. Dziś — w chwili powołania do życia zawiązku rządu polskiego — Polska Organizacya Wojskowa uważa za swój zaszczytny obowiązek oddać Tymczasowej Radzie Stanu Królestwa Polskiego swe siły i krew do rozporządzenia“.

Przygotowawcze prace Rady Stanu.

Do wydziału wykonawczego, do którego na mocy swego urzędu wchodzi marszałek koronny i jego zastępca, wybrano: Bukowieckiego, Dzierzbickiego, Janickiego, Kuniewskiego, Łempickiego, Piłsudskiego i hr. Rostworowskiego.

Celem przyspieszenia organizacyi polskiej armii, uchwalono jednomyślnie utworzenie wojskowej komisyi, złożonej z marszałka koronnego i sześciu członków. Komisya ma się porozumieć z władzami okupacyjnemi i komendantem Legionów i wypracować organizację departamentu wojskowego w Radzie Stanu. Do tej komisyi zostali wybrani: Dzierzbicki, Górski, Łempicki, Piłsudski, ks. Radziwiłł, hr. Rostworowski.

Dalej uchwalono rychłe powołanie komisyi celem wypracowania projektu statutu Sejmu i konstytucyi Królestwa, oraz utworzenie organizacyi dla opracowania spraw wyznaniowych i oświaty.

Wszystkie wnioski uchwalono jednomyślnie.

Nie będzie przymusowej rekrutacyi w Królestwie Polskiem.

Niemiecka urzędowa Agencya telegraficzna Wolffa donosi w telegramie z Berlina:

„Wśród przebywających w Niemczech, a przynależnych do Królestwa Polskiego, robotników polskich rozszerzone jest mniemanie, jakoby istniał plan przymusowego wcielenia ich do wojska polskiego. Taki zamiar wcale nie istnieje i przeciwnie, wskazać należy na to, że wojsko polskie uzupełnia się tylko z ochotników, a wszelkie pogłoski o przymusowem wcieleniu polegają zatem na wymyśle lub pogłoskach, złą wolą dyktowanych.“

Ważne rozporządzenie w Austryi.

„Wiener Zeitung“ przynosi rozporządzenie, znoszące dotychczasowe podporządkowanie namiestnika Naczelnej Komendzie armii. Ważne to rozporządzenie brzmi dosłownie:

„Znosi się cesarskie rozporządzenie z 25. lipca 1914 roku (Dpp. Nr. 153) z 31. lipca 1914 roku (Dpp. N. 186), z 23 maja 1915 roku (Dpp. Nr. 133), dotyczące przeniesienia uprawnień politycznej administracyi w zakresie urzędowego działania politycznego naczelnika kraju na naczelnego komendanta armii, względnie najwyższych dowództw“.

Rozporządzenie cesarskie weszło w życie z dniem ogłoszenia, to jest 9 bieżącego miesiąca. Od wymienionego terminu naczelnik Galicyi nie podlega władzy Naczelnej Komendy armii, a tem samem władze i urzędy w kraju podlegają namiestnictwu.

Watykan o pokoju.

„Osservatore Romano“, organ wyrażający opinię kół watykańskich, bardzo optymistycznie ocenia kwestyę pokoju. Noty pokojowe mocarstw centralnych i Wilsona, zdaniem włoskiego dziennika, dały bardzo korzystny rezultat, ponieważ idea pokoju wydobywa się na powierzchnię. Odtąd już sprawy pokoju nie będzie można usunąć z porządku dziennego. Ci, którzy mają nadzieję, nie doznają zawodu.

Rosya przed katastrofą wewnętrzną.

Jak donoszą z Sofii, koła kierownicze bułgarskie otrzymały wiadomości, że położenie wewnętrzne Rosyi o wiele jest poważniejsze, niż się ogólnie przypuszcza. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wielkie wypadki zbliżają się w Rosyi krokami olbrzymimi. Dymisya Trepowa i zamordowanie Rasputina, to tylko zapowiedzi o wiele ważniejszych zdarzeń, które już dziś są nieuniknione i wstrząsną podstawami państwa rosyjskiego.

Dziś już nie można ukryć przed narodem rosyjskim, że Rosya w zakresie militarnym uratować się nie da z powodu braku zmysłu organizacyjnego i niesłychanych przekupstw. Wszelkie nadzieje poprawy położenia byłyby złudne. Zbliżające się wypadki wojenne na froncie bessarabskim otworzą wszystkim oczy i prawdopodobnie będą sygnałem wybuchu. Rosya znajduje się w przededniu fatalnych wypadków.

Rumunia wobec klęski.

Na odbytem w tych dniach posiedzeniu parlamentu rumuńskiego, Bratianu w długiej mowie usprawiedliwiał politykę wojenną rządu. Oświadczył on między innemi:

„Armia nasza, znalazłszy się wobec nieprzyjaciela, walczącego z determinacyą, została złamaną. Nieprzyjaciel ten lepiej jest uzbrojony, niż wszyscy nasi sprzymierzeńcy, razem wzięci. Na tem polega przewaga Niemiec.

Sprzymierzeńcy nasi dali mi, przed naszem wdaniem się w wojnę, przyrzeczenie, że pierwsze zwycięstwa armii niemieckiej powetują i wyrównają. Przyrzeczenia te okazały się fałszywemi. Pomimo to rząd rumuński postanowił nie okazać niewierności dla zawartego układu.

Trzymaliśmy się Austryi — mówił dalej Bratianu — jak długo to było czynnikiem i żywiołem pokoju i równowagi politycznej. Atoli już w 1913 roku oświadczyłem posłowi austro-węgierskiemu, że traktatu przymierza spełnić nie możemy, gdyż nie pokrywają go nasze interesa narodowe.“

Bratianu mówił dalej, że nie żałowałby udziału Rumunii w wojnie, choćby ona skończyła się jej klęską. Rumunia umrze w obronie sprawiedliwości — zakończył z patosem Bratianu.

Take Jonescu, który po Bratianie głos zabrał, oświadczył:

„Gotów jestem spalić całe moje długoletnie życie parlamentarne, z wyjątkiem tych dwóch lat, w których przygotowywałem wojnę. Obecna generalicya nasza pokutować musi za wszystkich poprzednich generałów rumuńskich. Atoli choćbyśmy nie byli wierzyli w zwycięstwo, musieliśmy iść na wojnę. To było naszym obowiązkiem, choćby nawet w przyszłości wszyscy Rumuni rozproszyć się musieli i błąkać po świecie i choćby nasz kraj stać się miał jednym stosem gruzów. Powiadam: Wojna pomimo tego była potrzebną.“

Z pamiętnych dni w Polsce.

(Do illustracyi na str. 4 i 9).

Wielkie chwile przeżywa obecnie Polska, a zwłaszcza Królestwo Polskie, gdzie tworzy się wielkie dzieło realizacyi manifestu z dnia 5. listopada. Każdy niemal dzień przynosi z Warszawy i innych miast Królestwa Polskiego wieści o poszczególnych momentach historycznej chwili tworzenia państwa polskiego. Jednym z tych momentów, który odbił się głośno w całej Polsce, było uroczyste powitanie Legionów, wkraczających do Królestwa — jako zawiązku armii polskiej. Z uroczystości tej w Warszawie zamieściliśmy już szereg fotografii w poprzednich numerach. W dzisiejszym — podajemy zdjęcia z równie uroczystego powitania szóstego pułku Legionów w Lublinie.

Wzorowa szkoła I. Koła T. S. L.

(Do illustracyi na str. 7)

By w obecnej chwili przełomowej dać wzór dla szkolnictwa ludowego, we wrześniu 1916 roku otworzono Wzorową szkołę ludową cztero-klasową I Koła T. S. L. Kierownictwo szkoły objęła zasłużona pracowniczka na polu pedagogii p. Stanisława Okołowiczówna, do czasu wojny właścicielka i kierowniczka szkoły na ulicy Pańskiej, szkoły, która zjednała sobie wielkie uznanie i zaufanie społeczeństwa.

Szkoła wzorowa ma za zadanie kształcić nie tylko umysł dziecka, ale wychowywać je, kształcić charakter i ćwiczyć wolę małych wychowanków.

Lokal szkoły, obszerny, słoneczny i bardzo estetycznie urządzony, odpowiada wszelkim wymogom współczesnej hygieny i pedagogii.

Obok klas ludowych jest „ogródek dziecięcy“ (tak zwana froeblówka), gdzie w dużej, słonecznej sali dziatwa od lat trzech do sześciu spędza mile czas na pedagogicznie traktowanych zajęciach. Wesołe, szczęśliwe twarze dziatwy świadczą, jak miłą jest jej ta szkoła.

Kronika tygodniowa.

Aby przypadkowo nie zarzucił mi kto, że w kronikach zajmuję się tylko samymi drobiazgami, które nawet na wzmiankę nie zasługują, zabrałem się obecnie do studyowania poważnych rzeczy, zwłaszcza, że z powodu mrozu siedzę przeważnie w domu, nie mogąc się zdobyć na taki zbytek, jakim jest futro, zwane w krakowskiej gwarze pospolicie „jesiotrami“. Zrezygnowałbym zresztą z „jesiotrów“, gdyby człowiek mógł sobie pozwolić bodaj na jakie zwykłe śledzie, byle tylko chroniły od zabójczego zimna mą cielesną powłokę.

Przedewszystkiem zająłem się więc kwestyą szkolną i przeczytałem w „Czasie“ artykuły p. Rzepińskiego p. t. „O skutecznym rad sposobie na niedomagania w szkołach średnich“.

Swojego czasu zaczęto narzekać, że młodzież nasza, opuszczając mury uniwersytetu, nie wynosi stamtąd takiego zasobu wiedzy, jaki byłby potrzebnym, a przynajmniej pożądanym, do objęcia samodzielnego stanowiska. Uczuli się tem obrażeni profesorowie wszechnicy i, zrzucając ze siebie odpowiedzialność, oświadczyli, że oni nic na to nie poradzą, gdyż otrzymują materyał do studyów uniwersyteckich niezupełnie odpowiedni, to jest młodzież, w szkołach średnich nienależycie przygotowaną. Z kolei zabierali głos profesorowie gimnazyalni, utrzymując, że winny temu przepisy, krępujące ich na każdym kroku i szkoła ludowa, ta zaś orzekła, że winę ponoszą rodzice i domowe wychowanie. Zyciodawcy odpowiedzieli światłodawcom, broniąc się dziedzicznością i coraz silniej występującem zdegenerowaniem rodzaju ludzkiego, słowem, nie można było znaleźć winowajcy.

Wobec tego i kronikarz postanowił w tej kwestyi zabrać głos, jako iż sam, jako ojciec rodziny, który wychował swe latorośle, jest też po części pedagogiem, wprawdzie nie fachowym, ale zato praktycznym.

Otóż zbadawszy najdokładniej wszelakie *pro* i *contra*, doszedłem do przekonania, że wina leży w samej rzeczy po stronie szkół średnich, to jest właściwie systemu szkolnego, określonego najrozmaitszymi paragrafami, czego w szkolnictwie być nie powinno, po części zaś i po stronie wychowania domowego.

W dawnych czasach, gdym jeszcze, jako kandydat na młodzieńca, chadzał z tabliczką do fary, a potem zgłębiał tajniki różnorodnych dyscyplin, wchodzących w skład programu szkół średnich, naukę traktowało się na seryo, nie jako zabawkę. W szkole korzystał człek z wykładu światłych pedagogów, a dość potem musiał się namęczyć, nim odrobił swe *pensum* domowe, ale też, opuszczając mury szkoły średniej, mógł o sobie powiedzieć, że jest rzeczywiście dojrzałym do rozpoczęcia uniwersyteckich studyów, przygotowujących do przyszłego życia i zajęcia w społeczeństwie odpowiedniego stanowiska.

Między szkołą a domem, choć nie było wówczas tylu konferencyi i „wywiadówek“, istniał ścisły kontakt. Czy to ojciec, czy odpowiedzialny nadzorca, informował się o postępach syna, czy pupila, i umiał mu przemówić do serca i rozumu że uczy się tylko dla siebie i sam z tego odniesie korzyść. Bardziej zatwardziałe serca przekonywano nieraz argumentami namacalnymi (*via* oficyny). ale i to miało swe dobre strony. Młodzian od pierwszej chwili musiał się przyzwyczajać do poważnej pracy, jeśli mu to zaś nie przypadało do gustu, ponosił takie lub owakie kary, mające go naprowadzić na drogę cnoty i obowiązku.

Nie jestem bynajmniej zwolennikiem wbijania w mózgownicę setek wyjątków i form nieregularnych, lub kucia na pamięć ustępów, których się nie rozumie, twierdzę przecież, na podstawie własnego doświadczenia, że dawny system, pojmowany racyonalnie i tak też względem młodzieży stosowany, miał więcej dobrych stron, niż złych. Młodzież, która w owym czasie uczyła się w szkołach średnich, wynosiła stamtąd zamiłowanie do pracy poważnej i przeświadczenie, że na to są wydane najrozmaitsze przepisy, by się ludzie do nich stosowali, kto się zaś w latach chłopięcych nie nauczy ich szanować i w późniejszym wieku będzie je lekceważyć i starać się tylko lekko przez życie przepłynąć. Dawniejszy więc system, kształcąc umysł, wyrabiał też i charakter.

Z czasem stosunki się zmieniły. Każdy minister oświaty i każda Rada szkolna, stosując się do panującego do dziś systemu biurokratycznego, uważali za swój obowiązek wydanie jak największej liczby rozporządzeń, normujących sposób nauczania w szkołach średnich, mających rzekomo uwzględnić i rozwinąć indywidualność jednostek. właściwie zaś ją tylko krępujących bo zamieniających pedagoga i wychowawcę na urzędnika, trzymającego się ściśle litery prawa. Nie tak to przecież dawno, a i dziś się to jeszcze czasem powtarza, jak stosowano się do jakiegoś tam rozporządzenia, że w klasie powinno być tyle a tyle (obliczano procentowo) postępów dobrych, tyle a tyle zaś złych. Jeśli było inaczej, odnośny pedagog otrzymywał wytknięcie najpierw od swego dyrektora, potem od inspektora, wreszcie od Rady Szkolnej krajowej. Raz zarzucano mu zbytnią łagodność i dowodzono, że to źle wpływa na młodzież, jego pieczy powierzoną, innym znów razem surowość, radząc zawsze święte umiarkowanie, które nie powinno nigdy przekraczać pewnych, z góry już określonych procentowo granic.

Następnie doszły wyższe władze do przekonania, że system dawny, mający za główny cel gruntowność, nie jest dobry, że uczeń więcej skorzysta, jeśli w ciągu półrocza przerobi (naturalnie pobieżnie) kilka ksiąg klasycznego autora, niżeli jedną, ale dokładnie. Pamiętam, iż za moich czasów czytaliśmy w piątej klasie w pierwszem półroczu Liwiusza i zaledwie jedną księgę doprowadziliśmy do końca, ale też z ręką na sercu możemy powiedzieć, że lepiej poznaliśmy i ducha autora i sam język, niż do tego może dojść dzisiejsza młodzież, której przepisy każą w tym samym okresie czasu przemłócić dwie lub trzy księgi.

Potem postanowiono, że młodzieniec powinien się wszystkiego nauczyć w szkole, by mieć w domu wolny czas na inne zajęcia, a ułatwienie w przygotowaniu się do następnych lekcyi doprowadzono do tego stopnia, iż właściwie jedynem zajęciem ucznia jest dziś zebranie książek, o ile je ma, przespacerowanie się do szkoły (o ile jest ochota), odsiedzenie tam kilku godzin i powrót do domu, gdzie się dopiero zaczyna rozmyślanie, co tu począć z resztą czasu. Prawda, że wielu uczniów obraca go na dalsze, nadobowiązkowe kształcenie się na zabawy ruchowe i inne pochwały godne zajęcia, ale, dzięki temu nowemu systemowi jest też i wielu takich, którzy myślą tylko o tem, jakieby głupstwo popełnić, byle tylko się nie nudzić. Młody człowiek jest młodym, więc wiele musi mu się i powinno wybaczyć, ale obowiązkiem starszych jest, nie dawać mu do tego sposobności, by źle robił.

Również dodatnio na obniżenie poziomu ogólnego wykształcenia, jakie uczeń powinien wynieść ze szkoły średniej, wpływają ułatwienia, wprowadzone przy egzaminach dojrzałości. Nie pójdę, zdaje mi się, zadaleko, jeśli użyję trywialnego trochę może porównania i powiem, że dawna matura podobną jest do dzisiejszej, jak pięść do nosa... Dawniej, jeśli się do niej zasiadało, musiało się być odpowiednio przygotowanym, co wymagało sporo czasu, a przecież każdy go znalazł, dziś wystarczy obrócić na ten cel ostatni tydzień przed samym egzaminem. Wogóle dziwić się należy, że znajdują się jeszcze jednostki, które mogą być wedle obecnych przepisów uznane za niedojrzałe do rozpoczęcia studyów uniwersyteckich.

Pod jednym tylko względem przyznaję dzisiejszemu systemowi wychowania wyższość nad dawnym, mianowicie, iż rozwój ciała doczekał się wreszcie równouprawnienia z rozwojem ducha. Dawniej uważane to było za zbrodnię, jeśli uczeń w środę, sobotę lub niedzielę popołudniu pozwolił sobie pójść na ślizgawkę, lub na spacer za miasto (bez gramatyki łacińskiej lub greckiej pod pachą...) dziś wielką wagę kładzie się na zabawy i gry ruchowe, przebywanie na świeżem powietrzu kąpiele i tym podobne zajęcia mogące tylko dodatnio wpłynąć na zdrowie rozwijającego sie młodego pokolenia. Ale i tu nie trzeba przesadzać i nie powinno, a nawet nie wolno zbytnio forytować rozwoju ciała ze szkodą rozwoju ducha, boć ono jest tylko futerałem, w którym ten duch siedzi, a cóż warta najpiękniejsza powłoka lub pokrycie, jeśli wnętrze, czyli właściwa treść, niżej wszelkiej krytyki?...

W zdrowem ciele zdrowy duch — to prawda, ale jedno z drugiem da się bardzo ładnie pogodzić. I na naukę i na godziwą zabawę dość jest czasu, może nawet zbyt wiele. Porównując dawniejsze pokolenie, wychowane według starego systemu, który nie był tak łatwym i lekkim, jak obecny, z dzisiejszym, dochodzę przecież do przekonania, że ci mężowie, już posiwiali, stanowczo młodziej i zdrowiej przecież wyglądają, niż ich synowie, a nawet wnukowie, wychowani według najnowszych zasad hygienicznej pedagogii.

System więc nauczania i wychowywania młodzieży jest winowajcą, że na uniwersytet dostają się jednostki nienależycie przygotowane i nie mogące wobec tego korzystać z dalszego ciągu nauki, która z ogólnej staje się specyalną i wymaga zamiłowania do pracy, sumienności i gruntowności. A gdzież się tego wszystkiego ma nauczyć ten, kogo do tego w szkole średniej nie przyzwyczajono? Powód więc do narzekania ze strony profesorów uniwersytetu był słuszny i cieszyć się też wypada z tego, iż ówczesny rektor stanął dziś na czele najwyższej magistratury szkolnej krajowej, postara się więc niezawodnie o usunięcie złego. Biurokratyzm wszędzie szkodę przynosi, a już w szkole cierpianym być nie może, obliczanie procentowe zdolności uczniów, a równocześnie wydatności pracy nauczyciela, jest zupełnie nie na miejscu.

Teraz słowo jeszcze poświęcić muszę dzisiejszemu stosunkowi domu do szkoły.

Według dawniejszych pojęć szkoła i dom powinny sobie iść wzajemnie na rękę, naprawiać, co drugie źle zrobiło. A czy tak jest obecnie?... Przeważnie nie! W szkole nauczono chłopaka, że ma szanować rodziców, ale naodwrót, nie zawsze robi się to w domu, o ile się to odnosi do nauczyciela, owszem, nieraz się nawet zdarza, że ojciec lub opiekun, wobec swego syna lub pupila, wyraża się o nim w sposób nieodpowiedni, a nawet wprost pogardliwy, co nie może wpłynąć na podniesienie powagi pedagoga względem pupila. Skoro syn ma być ojcu posłusznym, musi sobie też o swym nauczycielu wyrobić takie zdanie, jakie ma jego rodziciel. A wiadomo, że młode umysły są najwrażliwsze, najłatwiej w nie coś wmówić.

Prawda, że dziś ojciec lub opiekun chodzi co dwa tygodnie „na wywiadówkę“, bojąc się, by mu za złe nie wzięto, iż nie interesuje się postępami syna, że są ojcowie, którzy po powrocie do domu przemawiają młodzianowi do serca i rozumu, jeśli nie tędy, to tamtędy, ale jest też, niestety, i wielu takich, którzy obojętnem okiem patrzą na to, jeżeli chłopiec, choć zdolny, naukę sobie lekceważy.

— Nie męcz się zbytnio, mój drogi! — powiada taki czuły tatuś — Staraj się tylko, byś miał pierwszą, bym nie potrzebował za ciebie płacić!.. Co ci tam z tego, choć będziesz celującym!... Ot, ja zdałem maturę z odznaczeniem, a nie mogę się doczekać szóstej rangi!...

Nie skłamał bynajmniej, swojego czasu odznaczono go przy maturze. Musiał nawet ósmą klasę powtarzać, tak się bowiem dobrze uczył, iż profesorowie chcieli, by był wzorem dla młodszych kolegów!

I dom więc ponosi tu część winy i pod tym względem potrzebna jest reforma, jeśli ma być lepiej, niż dotychczas, a jedyny na to „Skuteczny sposób rad“ jest ten, by przepisy, obowiązujące obecnie w szkołach średnich, poddać gruntownej rewizyi, co szkodliwe, wyrzucić, co pożyteczne, zostawić, profesora zrobić pedagogiem i nauczycielem, a nie urzędnikiem, którego gorliwość lub zaniedbywanie się w służbie oblicza się według procentów dwójek, wreszcie zacieśnić stosunek szkoły z domem i już od pierwszych chwil wpajać w chłopaka, iż nauczyciel to jego prawdziwy przyjaciel, a nawet dobrodziej, pracujący nad wyprowadzeniem go na ludzi. Ale do tego trzeba i prawdziwych pedagogów, którzyby poświęcali się temu zawodowi nie dla kawałka chleba, wbrew swemu przekonaniu, ale ze szczerego zamiłowania. Pedagog z musu więcej wyrządzi szkody, niż dziesięciu prawdziwych pedagogów potrafi potem naprawić. A zawód to ciężki!... Już starożytni mawiali: *Quem dii oderunt, paedagogum fecerunt...* Z drugiej jednak strony jakie to miłe uczucie, gdy patrzy się na byłych swych uczniów, dziś obywateli, pracujących dla dobra kraju, i może się powiedzieć z dumą:

— O o owoc mojej pracy!...

Rozgadałem się zbytnio, gotów mnie kto posądzić, że byłem zawodowym pedagogiem!... A kto wie, czy teraz wogóle warto zajmować się nauką, gdy świat z każdym dniem coraz bardziej praktyczniej i coraz bardziej lekceważy sobie wyższe wykształcenie. Dowodem tego najlepszym ogłoszenie gminy Kojetein (zdaje mi się na Morawach), która poszukuje jako siły konceptowej ukończonego prawnika z trzema egzaminami państwowymi (ewentualnie i doktoratem), obiecując w zamian za to... proszę się nie przestraszyć!... aż sto koron miesięcznie i ewentualny awans, jeśli się kandydat spodoba panu burmistrzowi i nie zrazi sobie przypadkiem którego z panów radców! Wynagrodzenie prawdziwie królewskie!... Jakże inaczej wygląda wobec owego ukończonego prawnika z trzema państwowymi egzaminami, ewentualnie i doktoratem, ów robotnik, który onegdaj przywiózł do pewnego sklepu beczkę z kolei i spuścił ją do piwnicy, za co (byłem tego świadkiem!) zażądał ośm koron wynagrodzenia i bez targu je otrzymał?...

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Dr. Woć goli brode, a mała śpi

Łamigłówka.

Ułożył Iii Ey, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

Bó—
os—
ko—
ro—
m—l
wó—
o-o
N-l
O—a
k—t
—ir
s—k
—an
—ka
—ir
—wa.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

I Klima W myje zdechłe szczury.

Grzebieniówka.

Ułożył W. Dziechtowski, Wieliczka.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko miejscowości kąpielowej koło Lwowa.

☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Europie. 2. Ptak drapieżny. 3. Drogi kamień. 4. Miara angielska 5. Miejscowość w Anglii.

Rozsypane litery.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, c, c, c, c, ł, ł, p, p, p, p, r, t, w.

Logogryf.

Ułożył W. Dziechtowski, Wieliczka.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nam imię i nazwisko współczesnego polskiego poety.

☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór Słowackiego. 2. Człowiek. dążący do celu gwałtownymi środkami. 3. Bohater grecki. 4. Bohater grecki. 5. Imię męskie. 6. Spiewak grecki. 7. Ludzie skrupulatni. 8 Imię żeńskie. 9. Roślina pastewna. 1 . Jedna z Park. 11. Imię biblijne. 12 Miasteczko w Galicyi wschodniej.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bryś! We szkole kot, gzy! Idź!

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. Augustowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko i przydomek słynnego rycerza polskiego.

☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐
☐ — — — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — — —
☐ — — — — — — — —
☐ — — — — — — —
☐ — — — — — —
☐ — — — — —
☐ — — — —
☐ — — —
☐ — —
☐ —
☐

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Przyrząd fizykalny. 3. Port rosyjski. 4. Uroczyste oświetlenie. 5. Symbol kość e'ny. 6. Złoczyńca. 7. Materya. 8. Kraj w Austryi 9. Szlachetny metal. 10. Imię męskie. 11. Trunek. 12. Przyimek. 13. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Stoi zakaz: całus sadn.

Kwadrat magiczny.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a k o
o p p r
r t t z

Znaczenie wyrazów: 1. Ciało lotne. 2. Pierwiastek. 3. Olej skalny. 4. Gwałtowny napad.

Bilety wizytowe.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

L. TOKARZ.

M. ROJA.

P. TOKY.

P. U. CYBARSKI.

T. DORKO.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A Gruszeckiego*: **Po ślubie.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

Szarada: Granaty.

Logogryf:

```
        P o k ó j
        M ł a w a
        W a r t a
        B r o d y
        P o l a k
K a r o l S t e f a n
        L i t w a
        C h e ł m
        B u f o r
        P r a g a
        M a n n a
```

Zadanie do przestawienia: Pokorne cielę dwie matki ssie.

Okienko:

```
F r a n k
r       l
a n i z a
n   z   r
k l a r a
```

Zadanie do przestawienia: Głodnemu chleb na myśli.

```
I c h n o w s k i M i c h a ł
z   u   b   a   n   i   l   e   ę
a   r   e   n   t   l   r   c
s   a   r   k   r   n   b   z
ł   g   t   c   a   z   a   y
a   a   y   y   t   y   t   c
w   n   n   a   a   a   a   a
```

Zadanie do przestawienia: Nie wywołuj wilka z lasu.

Trójkąt magiczny:

```
K a c z k o w s k i
A u s t r a l i a
C e l o w i e c
Z y g m u n t
K r a i n a
O p a w a
W i n o
S a n
K u
I
```

Zadanie do uzupełnienia:

1) Niema złego bez dobrego.

2) Wyszedł, jak Zabłocki na mydle.

Bilety wizytowe: Agitator. Cyklista. Dłużnik. Ginekolog. Hipokryta.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia. K. Ciesielski Poznań. S. G. l ński Nowy Sącz. J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze. H. Radziński Sucha. J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków. F. Gebhardt Kraków. J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie. M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów. A. Gross Kraków. J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka. M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, S Ko al Nowy Sącz, N Dębo-zó ·va Kraków, W. Świrski Zakopane, Z Rogozińska Kraków. S. Medyński Zakopane. J Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane. M. Domagalska Kraków. J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górna Kraków J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków. J B czyński Kraków. J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń. W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów. A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń. E. Laskowski Jordanów. T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń. H Ungar Wiedeń. R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice. H. Obst Praga. I. Brzostowski Chrzanów, K G łab Nowy Sącz S Roth Tarnów, W Stachowicz Lwów, A Gliński Przemyśl, E Winter Tarnów, M Zawadzki Lwów. H. Nowicki Przemyśl W Sosenko Podgórze.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Nowicki, Przemyśl.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Na cele Komitetu Opieki nad dziećmi ewakuowanemi w Galicyi wpłynęły w dalszym ciągu następujące dary:

Subwencya z Książęco Biskupiego Komitetu 10 000 koron. Dany R surs krakowski 1000 kor., E sc. Adam Jędrzejowicz 50 kor. Leonowa Paszkowska 10 kor., hr. Stanisław Tyszkiewicz 100 kor., hr. Jan Szembek 10 kor., Władysław Żeleński 20 kor., Mieczysław Heller 10 kor., Jadwiga Godlewska 20 kor., Seweryn Dolański 200 kor., Witold Kilieski 100 kor., hr. Leonowa Szeptycka i dzieci 301 kor., Edward Zaklika 10 kor., M. Cieńska 15 kor., radca F. Macharski zamiast życzeń noworocznych 200 kor., prezydentowa Adela Zollowa 50 kor., Róża Zduniowa 40 kor., Adamowa Żuk Skarszewska 30 kor., ksiądz kanonik Prezentkiewicz 8 kor., hr. Julia Pinińska 80 kor., hr. Witold Łoś 100 kor, N. N. 20 kor., hr. O. Cetner 20 kor., hr. Adamowa Skrzyńska 20 kor., N. N. 16 kor., hr. Bolesławowa Miączyńska 100 kor., hr. Teodor M ńkowski 150 marek, hr. Iza Szembekowa 20 kor., ks. Jadwiga Czartoryska 0 kor. N. N 50 kor., prez. Franciszkowa Maryewska 50 kor., p. Surzycka 2 kor., hr. Stanisław Konarski 1 00 kor.

Wojenna Centrala Handlowa ofiarowała bezinteresownie 10 cetnarów metrycznych węgla do opalenia biura i 60 kg. mydła, za co Komitet składa serdeczne podziękowanie uznając gorąco obywatelską gotowość Centrali, gdzie chodzi o cele humanitarne.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien — **Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego**

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) — Telefon Nr. 881.

Najpiękniejsza pamiątka światowej wojny!

Dla uczczenia naszych bohaterów, polskich Legionistów oraz wszystkich oddziałów wojsk armii austr.-węg. otrzyma tę pamiątkę każdy, kto nadeśle wojskową lub cywilną fotografię. — Nie jest to żadne malowidło, lecz unikat wykonany na welinowym papierze w kolorze szarym i może być z wszelkiemi odznaczeniami i szarżą w przeciągu 14 dni dostarczoną. Cena K 1? 13 Na żądanie prospekt Nr. 38 darmo i opłacony. Zastępcy poszukiwani

M. E. Schlosser, Wien III., Invalidenstrasse 1.

Wielce interesująca



Skrzynka z widokami

z ciągłym zmieniaczem obrazów. **Tylko dla Panów.** Do tego **50** bardzo pikantnych zdjęć fotograficznych. Obrazy przedstawiają się **nadzwyczaj pięknie i bardzo plastycznie,** a także przez ciągłe przesuwanie się obrazów jako pikanterya, panorama ta kupowaną jest bardzo chętnie przez Panów. **Kompletna panorama wraz z 50 fotografiami** tylko **K 5·—. Dyskretne wysyłki** tylko wprost za zaliczką przez

M. SWOBODA, Wiedeń, III/2, Hiessg. 13—31.

W pole wysyła się tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Nowa

mapa miesięczna

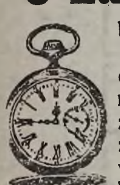
Paschego Nr. 16, obejmująca wszystkie tereny wojenne wyjdzie z druku około 30 b. m. Zamówienia przyjmuje

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

Cena z przesyłką K 1·10 lub wysyłka za zaliczką.

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła:

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masywne srebrne zegarki „Roskopf" K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Każdy jest tem zachwycony!

Kieszonkowe kino!

Aparat z 50 filmami, w gustownej kasecie **tylko 2·10 K.** Osobna serya filmowa **1 K.** Kinematograf z ręcznym obrotem, lampą etc. Koron 14·—, 25·—, 38·—. Odpowiednie filmy K. 1·—, 2·—, 3·— i więcej według długości. W krótkim czasie **pół miliona** sprzedano. Za nadesłaniem należytości i 80 hal. na porto i opakowanie. Za pobraniem 60 hal. więcej wysyła

T. R. Bergmann, Wiedeń V., Kohlgasse 46/III.

Odsprzedającym odpowiedni rabat.



Pewny skutek.

Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. droguery etc. Próbna doza K 3·30 wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80 Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6|F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul Floryańska 15· Reim i Ska Rynek gł. 37 Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. Perfumerya pod „Kometą" K Miklaszewski, plac Dominikański. **We Lwowie** [illegible] S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego Bielsko · droguerya Polaczka [illegible] Kołomyja: apteka Lopotka, ul. Jagiellońska. Tarnów: [illegible] Bracha W Cieszynie Schw. Hunddrog · Anckerdrog

Dobry aparat do golenia i strzyżenia.



Ia. brzytwa z srebrnej stali 3·50, 4.—, 5—, aparat bezpieczeństwa do golenia niklowany K 3—, 5—, marka „Effekt" z 6 nożami K 16.—, 20.—, podwójne noże rezerwowe za tuzin K 5·—, 6·—. Ia. maszynka do strzyżenia K 11—, 12— Wysyłka za pobraniem lub poprzedniem nadesłaniem należytości. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

HANNS KONRAD

dom wysyłkowy w Brüx, Nr. 1747. (Czechy).

Trociny drzewne

sprzedaje

Zarząd Wodociągu miejskiego, Kraków, Dz. XII., Senatorska 1.

Wschodnie perły!

Nowy wynalazek! Skończona imit. prawdz. pereł. „Orient" perły mają równą wagę! kolor! połysk! farbę! ciężar! kształt! wielkość jak prawdz. perły Nie niszczą się nawet po latach Dla reklamy też osobom prywatnym po cenie hurtownej: 1 sznurek pereł wraz z modną spinką I-ej jakości K 35 — II-ej 25.— kuczyki (w prawdz. oprawie urzęd. cechowane) 25.— śrubki 20— i t. d. Prospekty zadarmo! Także na spłatę! Zastępcy poszukiwani

Orient-Perlen Engros

Wien II/J. Praterstr. 50 Tür 6

Ia. żółte

MYDŁO

do prania

w ½ kilogr. kawałkach wysyłam w 5 kilowych paczkach, opłacone, za poprzedniem nadesłaniem Kor **40·**—

M. GUTHOVA

Praga II.

(dom własny.) — 14·4.

HUMORYSTYCZNY KALENDARZ „BOCIANA"

na rok 1917

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracyi „Bociana", Kraków XV. Przesyłkę uskutecznia się odwrotnie **za nadesłaniem należytości z góry, za egzemplarz 1 kor. 40 halerzy, na porto 10 hal., lub 60 hal. na porto rekomendowane.** Za przesyłki nie rekomendowane Administracya nie odpowiada.

Bandaże na przepuklin.



(ruptury bruch) pępka, brzucha, pachwiny i worka. Opaski brzuszne dla pań i panów. Prostotrzymacze. Bandaże na żylaki i t. d.

M. Z. POLACZEK,

Sambor 52. Cenniki darmo.

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych

SUKNA

jedwabne materye i modne materye dla panów i pań poleca firma

Prokop Skorkovský i syn

Humpolec, Czechy.

Próbki przesyła się na żądanie tylko bezpośrednim konsumentom. Towary w dobrym gatunku.

AKTUALNA NOWOŚĆ! SATYRY WOJENNE.

Cena 3 korony.

GRUBA BERTA

STEFANA NOWIŃSKIEGO

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Administracya „Nowości Illustr." uskutecznia wysyłkę „Grubej Berty" za nadesłaniem kosztów przesyłki w kwocie 70 hal., czyli razem **3 kor. 70 hal.**

Założony w roku 1900!

Po drodze do Zakopanego

Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.

Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

ADMINISTRACYA „Nowości illustrowanych" odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Ł. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego